



ZESZYT SZÓSTY.

ROZNIK V. — 1872.

BOŻA OPIEKA.

POWIEŚĆ OSNUTA NA PODANIACH XVIII. WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(CIĄG DALSZY)

W tym wieczora codziennie o jednej godzinie przybywał pan Brzeski do handlu Materskiego, wypijał nie więcej nad jedną miodu lampeczkę powoli, przynoszącego Janka zatrzymywał rozmową i widocznie go polubiwszy, starał się obudzić w nim ku sobie zaufanie. — Młode chłopię miało naturę łatwo dającą się pociągnąć i przywiązującą do ludzi, dosyć powiedzieć na dowód, iż zgryźliwa pani Materska i krzykliwy mąż jej nawet nietylko mu się nie przykrzyli, ale ich prawie pokochać potrafił. Szczególnym wszakże fenomenem, często w naturze się trafiającym, jakiś wstręt czuł Janek do słodzącego się doń Brzeskiego. Człowiek ten obudzał w nim obawę dziwną, odpychało coś od niego... Małeńkie podarki, czułości, nie przyciągały Janka ale raczej odpychały. Życie też owo w gwarliwej winiarni, wśród ciągłego roztargnienia, niedozwalającego nigdy zebrać myśli, zaczynało mu się przykrzeć. — Nie mówił o tem nikomu, ale przemyślał, jakby się z tych twardych uwolnić więzów... Niestety miał tylko do wyboru lub ukradkową naukę przy pracy dla chleba, albo żebranie po domach, upokarzającą i bolesną... Bakałarz, który w wolnych godzinach pomagał mu do nauki, książek dostarczał i otuchy dodawał, był godnym następcą kanonika Hodowskiego co do serca; co do głowy, tę miał tak przewróconą, jak wszyscy ci, co się niedouczywszy czegoś, nie mają siły postrzedz nawet, jak wiele im braknie.

Był on nauczycielem dzieci w infimie, lecz przekonany zarazem, iż gdyby nie złość ludzka, powinni mu być katedrę filozofii powierzyć co najmniej w uniwersytecie. Zdanie to i opinią o sobie jak najlepszą opierał na w istocie niepospolitej znajomości języka łacińskiego, który umiał doskonale, lecz poza tem... nic a nic więcej. Głowa była ciasna... zajęta cała regułami tego języka... a przez język nie umiejąca nawet sięgnąć do myśli, która się w nim wyrażała... Ze mu się często udawało barbaryzmy doktorów i profesorów poprawiać, wzdymał się tedy pychą ogromną, i mawiał naiwnie, iż w Krakowie całym nikt mu rzemyka nie godzien był rozwiązać... Stary już pan Euzebiusz Bramiński, wyglądał jeszcze krzepko i zdrowo, tylko mu się plecy nieco ugięły pod ciężarem niesprawiedliwości i krzywd doznanych od tego świata. Chociaż świecki, nosił się w sukni kleryckiej i przybierał powagę duchownego. Figura była olbrzymia, długa, koścista, z nosem nie rzymskim wprawdzie, któryby mu bardzo przystał do roli, ale zato niepomiernie wielkim, z twarzą długą, zawieszoną, z głową spiczastą, o szyi wyniosłej. Nogi, na których spoczywał, i ręce, które dowodził, stosowne do postaci rozmiarów dała mu natura... Spojrzawszy nań, zwłaszcza gdy na ów nos wdział okulary mosiężne, głowę dźwignął i skandował wiersz jaki, ręką wybijając miary, można go było wziąć za rzeczywistego profesora uniwersytetu. A tymczasem

Bramiński nawet stopnia magistra filozofii dobić się nie mógł i wegetował w podziemiach budowy akademickiej, nauczając bębnow pierwszych zasad czytania, pisania i — rachunku... Ilekroć nad losem swym zastanowił się pan Euzebiusz Bramiński, tylekroć z ironią boleści pełną cytował najzjadliwsze satyryków ustępy — przeciwko rodowi ludzkiemu... Doszedłszy do siwego włosa, a nie mogąc się dobić ani lepszego chleba ani wyższego stanowiska, Bramiński dał kpu światu za wygraną — to prawda — ale pocieszał się nie oszczędzając go wcale.

Za co Bramiński polubił Janka, trudno odgadnąć; może iż był biedniejszy jeszcze od niego... może iż mógł dlań grać rolę protektora i mecenasa... dosyć, że go uczył i zaszczycał swoim zaufaniem. Bramiński oprócz lekcji w szkółce dawał prywatne w mieście, ale to wszystko razem wzięte ledwie go żywiło... i mieszkał komornem u niemłodej wdowy po przyjacielu swym, niegdy organiście u P. Maryi na Kleparzu. Złe języki utrzymywały, iż się z nią miał żenić, jeszcze gorsze dowodziły, iż o czternastoletnią jej córkę zamierza się starać, gdy ona dojdzie lat dwudziestu, a on sześćdziesięciu pięciu; były to wszakże bajki wierutne... bo Bramiński już na żadną pociesniejszą przyszłość nie rachował. W dworku u Tadeuszowej miał na piąterku izbę dosyć widną i dogodną... i tam pędził pozostałe od pracy godziny samotnego żywota, pocieszając się grą na skrzypcach. Z charakterem i usposobieniem Bramińskiego łatwo się domyśleć, iż za równie znakomitego miał się wirtuoza jak uczonego... ale niewdzięcznemu światu... jeniusu swego objawiać nie chciał... Goryczą tą uzbieraną przez długie lata żył konserwując się w niej doskonale... Pocieszało go to, iż Tadeuszowa i jej córka przynajmniej wiedziały, jak on był wielkim... umiały go cenić i szanować. Do liczby wybranych należał i Janek, który nazywał go panem profesorem i w rękę całował. Właśnie jednego wieczora chodząc po izbie wygrywał Bramiński jakieś trele, którym wycie psa z blizkiego podwórza towarzyszyło w naprzykrzony sposób, gdy zapukano... Euzebiusz przerwał grę, ale mocno rozgniewany... Któż tam? — zawołał.

Pokazała się głowa Janka i gniew zniknął.

— A to ty, chłopcze... chodź! chodź! Miałem złożyć właśnie skrzypce... No cóż tam! *Quid novi fert Africa?*

— Nic nie ma, panie profesorze, — westchnął Janek — przyszedłem się pokłonić... i uzalić...

— Cóż ci to? mów...

— Bieda... zdaje mi się, że nie wytrzymam dłużej — mówił chłopiec. — Choć to się nazywa winiarnią, ale to zawsze rodzaj szynku... wrzawa, hałas, niepokój i o nauce pomyśleć trudno...

— A jakże sobie rady dasz? — poważnie spytał wyciągając szyję i strojąc protektorską postawę Bramiński.

— Gdyby pan profesor mi dał radę!

— Do bursy cię żadnej nie przyjmą... to darmo! — od-

parł Euzebiusz — tam panuje intryga i nepotyzm... każdy wciska jeźli nie ubogich krewnych, to powinowatych sług swoich i protegowanych przez zauszników. Jak wszędzie na świecie prawdziwa zasługa i prawdziwe ubóstwo odepchnięte... Patrz na mnie... żywym jestem przykładem niesprawiedliwości świata tego... Jaką ci radę dać? chyba tę, żebyś był podłym i głupim, ażeby ci na świecie dobrze było, bo takim tylko fortuna sprzyja... *Stultos fortuna juvat.*

Profesor przeszedł się razy parę po izbie.

— A jeść trzeba, a jeść trzeba, albo z głodu umierać — dodał jakby do siebie. Nagle odwrócił się do chłopca, i zawołał archimedesowem — *Eureka!* uderzając się palcem w czoło.

— Wiesz ty co? Kupcowa, ale kobieta wielce szanowna i groszowita, wdowa po bogatym garbarzu Salomonie... nazwisko ze starego testamentu, ale ona do nowego należy — nie bój się — ma trzech synów, wisusów. Chodzą oni do szkoły, ale ba! idąc do niej zwiedzają wszystkie zaułki i tłuką szyby żydom, przekupkom wywracają stragany... kradną obwarzanki, kotom ogony w pęcherze wiążą... wisusy, łajdaki, rozpuszczone to na dziadowskie bicze... Salomonowa mi mówiła, że gdyby się znalazł uczciwy, porządny, spokojny chłopak, który by z nimi chodząc, dozorował i do nauki w domu napędzał i dobry im przykład dawał... chętnie by mu wikt i stancję ofiarowała...

Janek poskoczył do ręki profesora z wyrazem największej radości. — A! to wybawienie dla mnie! — zawołał... to szczęście.

— Nie ciesz się tylko tak do zbytku, bo chłopcy Salomonczuki urwipolcie jakich mało, i życie ci z nimi może obrzydnąć. Ona kobieta dobra ale słaba, radaby, żeby ich na ludzi kto wyprowadził, a dyscypliny nie dopuszcza. A cóż poradzić z krnąbrnym duchem bez różgi? Tylko co sieczone to zdrowe, z gagatków gnój...

— A! z chłopcami dalipan dam sobie radę...

Profesor pomyślał. — No, to chodź... dom pani Salomonowej niedaleko... poco zwlekać... *stante pede* się to zrobi, i do szkoły będziesz chodził, jak się należy... Janek jeszcze raz w rękę pocałował profesora i wyszli. W istocie kamienica kupcovej była niedaleko, a poznać ją mógł przecuciem Janek po krzyku, jaki trzej chłopcy, ośmio-, dziesięcio- i jedynastoletni robili, wisusując w podwórzu... Ukazanie się poważnej postaci profesora spłoszyło nieco Salomonczuków... Wdowę zastali w domu z kumoszką, która na kawę przyszła. Znać było po izbach dostatek wielki i starą zamożność... wszędzie pełno kosztownego sprzętu, kobierców, szaf, a w szafach za szkłem sreber i szkieł weneckich i wszelkich osobliwości. Salomonowa, niewiasta otyła, rumiana, łagodnej twarzy... nosiła się z dostojnością imienia i mienia swego, wielką przybrawszy powagę.

— Czcigodna pani a najlaskawsza dobrodziejko — ował się kłaniając bakałarz — oto przedstawiam jej młodego,

chciwego nauki chłopca, niegdy wychowańca profesora Hordowskiego i mojego ucznia... który — zdaje mi się — ufam, tuszę, spodziewam się, potrafi zbytnią rozbujalność chłopców jej powstrzymać... Jeżeli pani trwasz w zamiarze swym...

Wdowa popatrzyła na Janka, który śmiało w oczy jej spojrział, jakby całą duszę w wejrzenie chciał przelać i wypowiadać się z niej, poczęła pytać o sierotę. Nie bardzo jej było do smaku, iż z rodziców wykazać się nie mógł, choć z twarzy i miny podobał wielce... Była tedy chwila niepewności i wahania, oglądano i badano Janka jak konia na sprzedaż wyprowadzonego, w końcu sprowadzono z dziedzińca trzech paniczów, aby im go zaprezentować. Dzieciaki przyszyły go dokoła też opatrywać, nie bardzo rade może nowemu towarzyszowi. Janek stał milczący, odpowiadał śmiało, a resztę polecił Bogu. I to nie po myśli było wdowie, iż w winiarni czas jakiś służył, ale przeważyła rada Bramańskiego i — Janka przyjęto... Pocałował w rękę panią Salomonową... umówiono się, iż jak można najrychlej się sprowadzi... a tymczasem chłopak pędem pobiegł nazad do Materskiego, bojąc się, że tam już sądny dzień zastanie. W istocie gotowało się jak w garnku, ale gdy nadszedł, Materski złagodniał i wszystko weszło w karby zwyczajne. Za stołem w izbie siedział Brzeski już za swoją miód lampeczką... Przywitał Janka czule... Słyszał zdala wrzawę i pytania:

Gdzieżeś to chodził? a co robił? czego tak długo bawiłeś?

— Porzuciłbyś bo tych Materskich — rzekł cicho do Janka — jabym ci inne znalazł miejsce...

Chłopiec nie chciał się jeszcze wydać z tem, że je już miał, i spytał:

— Jakież proszę pana?

— Tu w Krakowie, widzisz — odezwał się Brzeski — trudno o to... Jabym cię zawiózł... mam znajomego w klasztorze, przy szkole... w pewnym miejscu... miałbyś wszystko, opływałbyś jak pączek w maśle... a co ci to niejedno? tu czy tam, byle szkoła? Ludzie poczciwi... uczeni... Chcesz? zabierz manatki, zajadę po ciebie jutro w nocy i... już się o resztę nie troszcz...

Janek nie nie odpowiadając skłonił się; myślał, że się to w przypadku grymasów pani Salomonowej przydać może...

— Niechże mi pan da cokolwiek czasu — rzekł... Toć to... tak się wyrwać trudno... muszę zmiarkować. Za dobroć pańską wiecznie mu będę wdzięcznym...

— A pocóż odkładać, poco odkładać? Odkładany tylko ser dobry — zawołał Brzeski — potem ja nie wiem, czy będę mógł... boć ja w tych dniach jadę... a to drogi kawał... a potem...

— Aleć ja tak i Materskich bez opowiedzenia się porzuciłbym nie mógł.

Brzeski machnął ręką. — A co ci tam Materscy!

— A! nie, panie! ja tak powiedzieć nie mogę, ludzi ci

dali mi przytułek, gdy go potrzebował... opuścić ich niewdzięcznie grzechem by było.

Stary kulawy popatrzał i zamilkł.

— Mam jeszcze kogoś, z kim bym się pożegnać musiał — dodał Janek... a bez rady i błogosławieństwa bym nie ruszył, to pocziwą, przybraną matkę moję... na wsi...

— A co ci tam ona! — mruknął Brzeski z szyderskim wyrazem... co ci tam te chłopcy...

Janek nie odezwał się, ale krokiem odsunął się od człowieka, do którego czuł wstręt coraz większy... Mimo to jednak wdzięczny mu być musiał, bo on mu dobrze życzył i wyciągał dłoń pomocną...

— Niech mi pan raczy dać czas do namysłu...

Brzeski podumał. — Jak chcesz — odezwał się — no... dzień, dwa, dłużej nie mogę, ale pamiętaj, gdy ci szczęście samo w ręce lezie, abyś potem odepchniętego nie żałował... To mówiąc nałożył czapkę i poszedł.

Przerzedzało się co chwila w winiarni, godzina była spóźniona, chłopak nietknąwszy książki, skulony na ławeczce, dumiał nad losem swoim — Co począć! — W tych stanowczych chwilach, gdy się rozstrzyga jednym krokiem przyszłość cała, nawet dziecię czuje tę trwogę nieznanego, neodgadnionego, która ogarnia człowieka... W młodości więcej jest wiary w gwiazdę szczęśliwą i w opatrność łaskawą, a przecież drzy serce... bo któż sięgnie proroczem okiem w głębinę? Jankowi było straszno i smutno. Trzy drogi miał przed sobą. Zostać u Materskich i bić się dalej a dalej, pójść do Salomonów, pojechać z mało znanym a wstrętliwym opiekunem, który mu się narzucał?

Stara Hruzdina miała dla mnie serce matki — rzekł w sobie — może też ona mieć będzie macierzyńskie poczucie, co lepiej? Pójdę się jej poradzę...

Janek widywał często przybywającą do miasta pocziwą starą, która go nigdy nie minęła... lecz ani razu nie zajrzał na wieś. Sądził, że teraz bezpiecznie tam na chwilę przekraść się może... Szlachcic był zachorzał i zmarł, a panicz podrósł i czuba natartego zapomniał. Jakaś go wielka ochota brała miejsce to odwiedzić, gdzie się chował i gdzie pierwsze przeżył lata... te lata, których nawet bole słodko się później przypominają...

Więc gdy Materski szedł burcząc zamykać drzwi żelazne, Janek mu się pokłonił.

— Miałbym prośbę do pana...

— He? — spytał kupiec — już prośbę? już myślisz, że takeś mi się zasłużył, że tak się bez ciebie jak bez prawej ręki obejść nie potrafię, iż możesz ze mnie ciągnąć co zechcesz...

— Ale ja nic nie myślę — odparł Janek — i o nic więcej nie proszę, tylko o uwolnienie mnie na jeden dzień, bo muszę pójść na Prądnik.

— He? już świerzbi? już świerzbi? — zawołał Materski — po co? na co? aby bąki zbijać?..

— Matkę przybraną chcę... widzieć i z nią się poradzić. — Kupiec aż drgnął. — Cóż to za rada? czy już cię piecze, czy już ci źle?

— Łaską pańską nie gardzę, lecz...

— A! idź! idź! nie pytam więcej, idź sobie... na cały dzień, na dwa dni! myślisz, że się bez asindzieja nie obejdę, obejdę... otóż obejdę... idź...

Chłopiec milcząc się pokłonił i na tem się skończyło. Kupiec sądził, że go nastraszy, i zląkł się widząc, że to nie zrobiło zamierzonego skutku.

Jak mi drapnie — rzekł w duchu — nie łatwo takiego drugiego znaję.

Naradzali się z żoną długo, ale nic nie postanowili. Jak świt Janek z bijącym sercem wyruszył. Ranek był letni, pogodny, a świat uśmiechnęty i wesoły... wyszedłszy z miasta, między drzewa... na zieloność okrytą rosą, serce się mu rozradowało... Tak długo siedział wśród tych murów... oddychał stęchlizną... a tu tak było jakoś po Bożemu wśród łąk, zbóż, drzew, z szerokim widokiem na ziemię i niebiosa... Aż lekko mu było iść po drodze, na której nie kamień uliczny, a ziemię czuł, matuchną rodzoną. W duszę wstępowało i życia pragnienie i nadzieja życia... Ptaszki spiewały, spiewali ludzie, kwiaty kołysały się na łodygach, gałęzie spuszczone zdawały się go witać i chcieć pogłaskać. Droga ta była znajoma... lipy, olchy... chaty.. twarze ludzi, wszystko aż do wesołych zwierząt, które spotykał... szło się prędko nie czując najmniejszego znużenia. Już był Janek na pół drogi, gdy zdala, czy oczy ludzka? — patrzy, wlecze się z króbką st ra Hruzdina. Spuszczoną mając głowę, bo pacierze odmawiała, nie rychło go postrzegła... Chłopiec nie chcąc jej nastraszyć począł spiewać już zdaleka. Dopiero zwolna oczy podniosła i stała zdumiona.

— A toż Janek...

— Ja sam?

— Cóż ty robisz? dokąd? stało ci się co? mój miły Boże!

— Nic, nic, dobra matko — rzekł całując ją po rękach — anom do was zatęsknił jakoś...

Zawahała się stara. — Hruzdzy nie ma w domu, mnie dziś do miasta nie koniecznie, wróćmy do chaty, większe pół drogi uszedłeś... choć się tobą pół dnia nacieszę. — I zaczęła go ścisnąć a głowę schyloną pocałunkami okrywać... Jankowi się na łyzy zbierało... Przeżegnali się przed blisko stojącym krzyżem i zawrócili nazad do Prądnika... a szli nie spiesząc powoli... a Hruzdina potykała się co chwila, bo zapatrzywszy się na dziecko, pod nogi spojrzeć zapominała.

— Otóż tak, prawdę mówiąc całą — ozwał się po pierwszych słowach Janek — jam nie darmo się u Materskiego wyprosił... bo myślę coś z sobą, a postanowić sam nie umiem.

— A czyż to ja rozumniejsza jestem od ciebie! — wzdychając odpowiedziała kobieta...

— O! matko droga — zawołał Janek — i rozum macie starszy od mojego i serce matczyne... radźcie.

— Cóż radzić?

Począł Janek opowiadanie... Zaledwie o kulejącym wspomniał, kobieta plasnęła w dłonie.

— Jezu miły! a toż kuternoga ten pewnie, co cię przywiózł do nas. Jemu ty na coś potrzebny. Nie darmo on ci tak z łaską się swą narzuca...

— I co prawda — rzekł Janek — człek mi czegoś straszny i wstrętliwy...

— Jakże wygląda?

Chłopak opisywać go począł, a Hruzdina dokończyć nie dając wołała już: — Ten sam, na Boga, strzeż się, strzeż... on na ciebie czatuje, a jeżeli wywieść chce, nie bez przyczyny. Zgubę ci może gotuje... Za nic do niego nie idź... za nic...

— Otóż widzicie, matko — rozśmiał się chłopiec — że głupi Janek wcale postąpił nie głupio, idąc po radę do was... ani by mi na myśl nie przyszedł kuternoga.

— Toć on to on, — zaczęła stara — a dla większej pewności gotowam przyjść i stać, aby go zobaczyć.

Dalej Janek wspomniał o Salomonowej. No, wtem — zawołała Hruzdina — nic nie poradzę, ale ci jedno powiem, na co się głupia głowa moja zdobyć może... Pójdź do kościoła, mszy świętej wysłuchaj pobożnie, proś Ducha świętego o natchnienie, a coć on powie, posłuchaj...

Tak gwarząc do chaty przyszli. Pusto tu było, Hruzdza z parobkiem w polu, kobieta jeść im poniosła... na płocie siedziały wróble i sroki papląc coś niezrozumiałego. Bury kot Hruzdzinej wylegiwał się na słońcu... zresztą, żywej duszy. W chacie Janek zastał po staremu wszystko, te lata przeszły po niej nietknięwszy jej nawet... tylko mu się ciaśniejszą wydała... Hruzdina rozmawiając przygotowała przyjęcie... a starej z tego niespodzianego gościa tak się radowało serce... że ciągle ze szczęścia na łyzy jej zbierało. I nie postrzegli się, jak dzień zeszedł. Jankowi na wieczór potrzeba było do domu powracać... musiał więc staruszkę pożegnać i zwolna do miasta podążyć. Wieczór jeśli piękniejszym nie był od poranka, to pewno nie mniej miał wdzięku, choć cale różnego. Rano wszystko się rwało do życia, teraz do spoczynku... pieśń nadziei mieniła się w chór dziękczynny... Ludzie i zwierzęta spieszyły do schronień, w których część siebie zostawiły... Słońce jeszcze całym blaskiem świeciło na pożegnanie, gdy Janek idący zwolna gościńcem ujrzał przed sobą osobiwszą jakąś kawalkatę.

Widocznie był to pański dwór, który z miasta powracał... Szła karetka sześciu końmi zaprzężona, w złocistych z niebieskim aksamitem chomątach, koło niej służba strojna w barwę świetną... i jezdni, którzy z koni posiadali, bo

i pani tego dworu, korzystając z pory, z towarzyszką swą szła bokiem gościńca pieszo... Za nią dwóch hajduków niosło chustki i książki z klamrami i koszyki... Właśnie po tej stronie drożką szedł Janek, kędy owe panie zwolna kroczyły. Zdala się im przypatrywał. Jedna była już stara a zdawała się towarzyszką, bo tamtę podtrzymywała i wybierała jej ścieżynę najlepszą; druga młodsza, z twarzą bladą i smutną a bardzo jeszcze piękną, oczyma niebieskimi w szeroki świat patrzyła jakby nieprzytomna... zbladła i zobojętniała... Oczy te wypłakane błędząc tak bez celu, padły na zbliżającego się chłopaka, który czapkę zdjął, blond włosy długie opadły mu na ramiona, ze ścieżki ustąpił i czekał tak, aż ów dwór się przesunie. Im bardziej zbliżała się pani ku Jankowi, tem dziwniejszym wyrazem okrywała się jej twarz... drgnęła, stanęła, podeszła krok, rumieńcem oblała... oddech się w piersiach zatrzymał, wejrzenie wlepiła w chłopaka... wreszcie zrównawszy się z nim, zatrzymała.

Starsza pani, która jej towarzyszyła, podniosła głowę i — krzyknęła... Ludzie idący za paniami przelękli się i myśląc, że chłopak co zawinił, rzucili się, by go zepchnąć dalej z drogi, gdy pani owa wyciągnęła rękę i skinęła na chłopca... Janek podszedł... Dziwna rzecz, zawoławszy go, nie mogła wymówić słowa, patrzyła, patrzyła, łzy jej z oczów pociekły, i ledwie nie rychło pohamować się w płaczu potrafiła. Tymczasem towarzyszka... która się z równie pilną uwagą przyglądała Jankowi, postrzegłszy brodawkę pod uchem, zbladła jak trup i trzęść się zaczęła... Nie rzekła słowa, ale i jej rzuciły się łzy z oczów. Janek stał ciągle nie wiedząc co począć... i co to wszystko znaczyć mogło...

Kobiety spoglądały po sobie, ludzie szeptali, wszyscy przypatrywali się Jankowi i zdawali osłupieni, aż w ostatku pani się przeżegnała, jakby wzywając pomocy Bożej, i słodkim głosem ozwała się do Janka...

— Zkąd ty jesteś, moje dziecko?

Odpowiedź była nader trudną... Janek nie wiedział naprawdę, zkąd był, z Prądnika, czy z Krakowa...

— Ja jestem... sierota — rzekł... ludzie z Prądnika przytulili mnie, a teraz służę w Krakowie...

Głos dziecka nowe wywołał wrażenie... obie kobiety szeptały coś przerażone jakby...

— U kogo służyłeś?

— U kupca, proszę pani, ale — rzekł Janek — właśnie do matki przybranej szedłem się radzić, bobym się chciał uczyć... bardzo bym pragnął się uczyć, a służąc tylko po nocach mogę...

— Jakże się ty zowiesz?..

Janek się zarumienił mocno.—A, proszę pani—rzekł— imię mam Janek, we wsi mnie byli ludzie głupim Jankiem przezewali, i to mi się zostało... Właśnie, że na rozumniejszego bym rad wyjść, uczyć się pragnę...

Pani słuchała, patrzyła i płakała i rozstać się jej z tem dzieckiem było trudno... a zatrzymywać dłużej nie mogła. Chłopak miał czapczynę w rękę i poglądał niepokojnie na słońce, bo mu do miasta czas było... kobiety poszeptały coś z sobą... Moja Modrzesiu... moja droga — zawołała półgłosem pani — pożycz mi, daj co masz... na pamięć jego... i tego, którego straciła w kolebce... a któryby może aziś był w jego wieku... ja mu chcę pomóc... ja mu chcę dać, co tylko mam... teraz, zaraz... Potem, któż wie, już go... niewolno mi będzie szukać!.. Modrzesiu, ratuj... dam ci kanak perłowy! masz pieniądze?..

— Pani, kilka dukatów...

Służba usłyszawszy słowa pani, a chcąc spełnić jej życzenie, bo ją znać wszyscy kochali, jęła kieszenie przepatrywać... Dobyto z woreczków, kto co miał... Dworzanin rękodajny właśnie był odebrał w Krakowie i miał przy sobie dwieście czerwonych złotych, podbiegł więc, wołając, iż pewnie więcej nie trzeba... Z chciwością jednak zagarnęła kobieta i te dwieście, płacąc za nie uśmiechem, i co kto miał, tak że niespodziewanie około trzechset dukatów się zebrało...

— A! to mało, to cień mego męża i dziecka...

To mówiąc zerwała z szyi łańcuch złoty...

— Nastaw mi czapkę — zawołała wzruszona — oto masz, abys się miał uczyć za co!

I ucałowała go w głowę... ale dotknięcie do niej... odjęło jej przytomność, omdlała... Wszyscy rzucili się ratować... Janek padł na kolana przed nią i rozplakał się. Otworzyła oczy, i pierwsze wejrzenie jej padło na chłopca. który z czcią jakąś i trwogą patrzył wciąż na nią...

— Pani moja najłaskawsza — odezwał się cicho — a cóż ja pocznę z tylą złota! a czyż mi ludzie uwierzą... że mi je darowano?

— Powiesz, kto ci je dał... pani z pod Niepołomic, którą napotkałeś w drodze...

Dworzanin szepnął mu do ucha nazwisko i razem dodał: — Dziękuj i idź chłopcze... idź... boję się, żeby to naszej pani nie szkodziło... Dobremu jej sercu i swojemu nadzwyczajnemu podobieństwu do nieboszczyka pana zawdzięczasz to szczęście...

Mówiąc to dworzanin także popatrzył na ucho Janka, i usta mu się zacięły... Chłopiec ukłękawszy nogi i ręce pani ucałował, a miał już z pełną tą czapką odchodzić, gdy go ów mężczyzna, który był dwieście czerwonych złotych pożyczył, na stronę odciągnął.

— Ile masz lat? — zapytał cicho...

— Przybrana matka mówiła mi, że miałem cztery, gdy mnie do nich przywiózł kuternoga...

Na to słowo mężczyzna pochwywszy za ramię chłopaka, aż krzyknął. — Nie wiesz, jak się zowie?

— Nie wiem... ale...

Dworzanin w myśli rachował... A lat temu ile?

— Jedenasty...

Czoło pytającego zachmurzyło się. — Gdzie teraz jesteś? — zapytał.

— Służyłem w winiarni u Materskiego...

— Bóg wielki! — wyrwało się z ust dworzaninowi; i nagle pohamował się, ostygł... Poklepał chłopca po ramieniu.

— Jeslibyś oddalał się gdzie, zostaw u Materskiego o sobie wiadomość, ona mi będzie potrzebna...

Kobietę napół omdlałą wsadzono do powozu, a jeszcze z uśmiechem oglądała się na Janka... Dworzanin poskoczył ku pani... Janek stał, i dopiero gdy konie ruszyły,

gdy wszystko jak sen zniknęło w tumanie kurzawy, przysiadł nad brzegiem rowu, aby obmyśleć, co ma ze swym skarbem uczynić.

Czapeczka prawie była pełną dukatów, na wierzchu jej spoczywał gruby łańcuch złoty z medalem, w którym za szkłem widniały relikwie świętych... Janek ucałował je, i chroniąc naprzód tę pamiątkę drogą, zarzucił ją na szyję pod koszulę... dukaty potem zawiązał w chustynkę i tak... pijany swem szczęściem, modląc się, śmiejąc, płacząc, marząc pospieszył do Materskich, pewien, że go tam straszne czekają burze.

(Ciąg dal. nast.)

PAN BOLESŁAW.

SZKIC POWIASTKOWY

PRZEZ

BRONISŁAWA KOMOROWSKIEGO.

VI.

O dni wy! niby tych dawnych postrzyżyn,
Co z ócz chłopięcia zdierały ślepotę —
O dni słoneczne, których blaski złote
Na młodą duszę schodzą z prawdy wyżyn,
I otwierając poznania wrzeczadze
Gorących czynów wzniecają w niej żądzę:
O dni! oświećcie naszego sierotę!

Już do serdecznych trudów i wysień
Piersi, na głosy tajemne niegłuchej,
Do smutnych tęsknień skorej i rozkwilień,
Przybyły nowe — ducha zawieruchy!
Ducha, co sprężyn żywota ciekawy,
Myśl twórczą wydrzeć chce z formy spowicia
I skrzętnie śledzi jej wszelkie objawy,
Nurtuje prądy marzenia i życia,
Pragnie na wszystkich wiedzy popaść niwach,
Rozmierzyć nawet fikcyjne zakąty:
Więc raz w materii grzęźnie, to w porywach
Na niezbadane goni horyzonty,
Ażeby w oczy zajrzeć tej Wszechmocy,
Co się w swem dziele jawi nieśmiertelnie,
Ale ją zmysłem, niby całun nocy,
Powłoka ziemską zasłania tak szczelnie,
Że zda się nam ukrytą...

O tak! zda się!

I tylko zda się; bo czyliż o Boże,

O Swentowicie wielki i Atlasie,
Jasną twarz swoją ukryłeś przed duchem?
Nie onaż świeci w tym słonecznym tworze
Napełniająca świat żywotnym ruchem?
Nie onaż wdzięcznym błękitów uśmiechem
Twór rozwesela wszystkich, godzi wszystkich?
Nie dla niej-ż stroi się z takim przepychem
Lada motylek lichy, lada listek! —
Ha! że myśl ludzka duchowego złota
Wciąż szuka w tyglu mistycznej alchemii,
Gdy Wszechmoc stoi przy niej, Bóg żywota,
Bliski, bo ojciec wszystkiego na ziemi!
Dla czegoż szuka w chaosu całunach
Czyniąc podobnym do widm i straszyleł
Tego, co podparł globy na biegunach,
By się z wieczności nie zsunęły skrzydeł;
Tego, co w tłumnych słońc i gwiazd tabunach
Jak pasterz strzeże ładu i prawideł?!
Czemuż koniecznie każe Mu w ciemności
Dowolny światom sąd czynić tajemnie,
Zamiast zawołać: Najwyższa Miłości!
Widzę Cię wszędzie — czuję, żeś jest we mnie! —
O! kto tak siebie umiał „rozanielić“
I Bóstwo życia w kształty życia wcielić,
Ten już w tem życiu nie będzie jałowy!
Bowiem nie będzie za śmierci pomrokiem
Szukać owego straszego Jehowy...
Bóg dobry stanie mu wszędzie przed okiem,
I na czem oko z miłością zatrzyma:
W pyłku, skrze, kropli zobaczy Olbrzyna...

Niestety! nasz bohater, co fatalną
Zkądinąd miał już wadę: niecierpliwość,
A nadto poszedł drogą idealną,
Która wrodzoną wzmogła chwiejność, tkliwość;
Skłonny do czczości równo jak opojen,
Nasz Bolek, w wirze pierwszych ducha rojeń,
W ciężkiej gorączce tej samopoznania,
Pełnej rozstajnych dróg, pełnej rozdwojeń
Między marzenia światem, co się skłania
Ku złudzeń światom, a tym rzeczywistym
Światem, co pełnie życiowym poziomem:
Uwiśł pod stropem przeczuć i snów mglistym,
Jął słać w hymnach Boga, który gromem
Bawi się... Boga, co w poetów dziele
Niby w wszechmocy swojej Monitorze
Objawia światom, ludom, nowe cele...
Tak całkiem, jakbyś Ty, nasz Stwórco Boże,
W każdym nam pyłku nie jawił dowodnie
Tych celów świętych; jak gdybyś w serdecznych
Zgłoskach nie spisał nam księgi prawd wiecznych,
Więc gwiazdy palić nam musisz przewodnie!

VII.

Myśliciel młody nasz, jak wielu, wielu,
Nie uszedł ciężkiej wieku swego plagi:
Goniąc, i trwoniąc skarb duszy, bez celu,
Znużył się, wypadł z życia równowagi.
Trudno jest bowiem dotrzeć na tym świecie,
Co ma powierzchnię kulistą, bezbrzeżną...
Po kuli chodzić — rzecz nie łatwa przecie!
Lada szwank tego z widokregu zmiecie,
Kto nie uchwycił woli dłonią męzną
Steru żywota! — Owoż są i tacy,
Co sądzą: łatwo jest kulę przepełzać —
Inni zaś, szydząc niskich grzbietów pracy
Radzą: nad kulą tą skrzydła rozkiełzać!
Doświadczeń wszkąd wskazuje nauka,
Że tylko temu z pod nóg nie umyka
Ziemia, kto życiu owych dróg wyszuka,
Kędy się ona z niebiosami styka.

W mętach Bolkowi wiary tkwi przyczyna,
Że wiersze jego jak urny rozbite —
Dla muzy bowiem przekonania doktryna
Jest jako pruski kwas, lub aqua vitae.
Wszak piękno, miłość służą jej za godło!
Czuł Bolek dobrze, że mu natchnień źródło
Wysycha... wiedział także, czem są światu
Pseudo-poeci, i drzał na wspomnienie,
Że może tego muz proletaryatu
Powiększyć zastęp...

„Natchnienie! natchnienie!

„Zawołał — patrząc na swą odę bladą —
„Takim poetą być, to nie być raczej!
„Widzę, żeś nie jest panią moją, Łado!
„Więc się rozstaniem, bo nie chcę rozpaczy.
„Wszak znajdę zawód co mniej mi jest sprzecznym,
„I będę może jeszcze pożytecznym
„Światu i sobie. Nic, nic nie wyroję,
„Więc zgińcie pieśni! wstańcie czyny moje!“

Z tym wykrzyknikiem nowy się otwiera
Świat dla naszego pana bohatera...
Dotąd on wprawdzie nic jeszcze nie wiedział,
Jaki to będzie „czyn“ jego na świecie,
Lecz że piętnaście lat blisko wysiedział
Na ławie szkolnej, toż i znajdzie przecie
Pole dla czynów jakichś użytecznych...
Świat się dzisiejszy lubuje w ekstremie,
Więc i Bolesław w mig się z „niedorzecznych“
Rymów przerzucił na „rozsadną“ ziemię.

VIII.

„Ach! jakże innym jesteś, Bolesławie!
„Już w tobie dzisiaj nie poznaję prawie
„Owego Bolka... pamiętasz ty jeszcze?..
„Wieczorem tutaj pod lipą, tą rosłą,
„Co zdradził komuś duszę swoją wzniosłą,
„Wysnuwszy pierwsze swoje kwiatki wieszczce...
„Czyż mogłeś zmienić się? — i w jednym roku!
„Ten rok rozłąki wiekiem był odmiany!
„Ej, coś tam zaszło... Łzy, ty łzy masz w oku?
„Pewnie cierpiałeś wiele mój — kochany —
„O! wiem. .“

Ostatnich słów tych Anny, tkliwych,
Już pan Bolesław nie słyszał. Głos owej
Istoty dobrej z dni cichych, szczęśliwych,
I to wspomnienie chwili podlipowej
Wzburzyły tonie uczuć jego do dna.
Biegł po ogrodzie chwytając powietrze —
W oczach stawała mu ciągle pogodna
Twarzyczka Anny, jagody nie bledsze,
Niż były w chwili, gdy z świętym zapałem
Przekazywała mu natchnienia drogi...
„A ja? — pomyślał — ja, co z ideałem
„Wziąłem już rozbrat, inne życia bogi
„Uczciwszy — czuję, jaką mi jałmużną
„Są dziś jej słowa tkliwe i spojrzenia;
„Czuję — lecz próżno ty mię nęcisz, próżno,
„W zamknięte dla mnie już światy marzenia!
„To przeszło! od twej jam dziś drogę różną
„Obrał, i pewnym krokiem — doświadczenia

„Pójdę nią, kędy mi zasługa będzie —
„Skruszyłem kruche pieśniarskie narzędzie...
„Męki się zrzekłem, zrzekając wawrzynu!
„Pod młotem twardym niech dźwięczy rytm czynu,
„Żmudną przy pługu nie pogardzę pracą,
„To się tak jeszcze tutaj przydam na co!”

Długo tak w nowej swej tonąc nadziei
Wałęsał Bolek; cisza była smępna.
Aż niespodzianie w zakręcie alei
Ujrzał przed sobą Maryą...

Obojętna

Na wszystko, co się zwie zmiennością bytu,
Nic szczególnego w Bolku siostra Anny
Dziś nie odkryła. „Ach! — rzekła — i ty tu?
„Sam? — podsłuchujesz pewnie rytm fontany!
„Więc zaraz spytam: ody czy balady
„Wyrosną dzisiaj z wrażeń tej kaskady?
„Ha, i słowiki! i malw kolumnady!..
„Bez rymowego minęłożby skutku
„Wrażenie, co się w tych czarach wylęga?”

Dziwnego Bolek doznał z słów tych smutku,
Lecz w lot rzekł: „Owszem — minęła potęga
„Wrażeń tych dla mnie! Słowik tak jak czyżyk
„Ptaszcikiem jest mi dziś tylko niewinnem...
„Czy wiesz Maryniu? — szczerze mówię — krzyżek
„Zrobiłem już nad muzą! O, dziś innem
„Trzeba natchnieniem żyć, by dobrze było
„Na tym biedniuchnym świecie! Pójdę drogą
„Pewniejszą, a nie mniej od tamtych miłą,
„Do celów życia... Sny zawodzą srogo!
„Pocznę ja odtąd żyć zdrowo — praktycznie —
„Z ziemskiej należy ziemię ująć strony
„Chcąc być jej panem!”

„Ach, brawo! przesłicznie!

„Czy tylko zamiar to już niecofniony?
„Jakże się cieszę — zachwycam — unoszę,
„Że chcesz mieć Bolku jakieś dobre życie!
„Ej, te muziska są męką potrosze,
„Ja wiem... ja także raz pisałam skrycie,
„Chacha! poezją jakąś — banialuki!
„I że też ludzie lgną do tej pokusy,
„Że im tak pilno tej nauki, sztuki!
„Wiesz Bolku, dałabym ci dwa całusy,
„Żeś to porzucił!”

Jakiż pancierz sprosta

Czarom niewinnych, dziewczęcych szczebiotów!
Więc i bohater nasz, choć nie Ariosta

Druh, szukający amorozych grotów,
Lecz dusza polska, chora ale prosta:
Uczuł, że byłby bez namysłu gotów
Przyjąć od wdzięcznej skowronków królowej
Ofiarowany mu dar — koralowy...
I uczuł także, że byłby jej zdolny
Dar odwzajemnić ten w sposób ksiązący,
I uczuł dalej: że i ptaszek polny
Nie zaszczebioce tak — i uczuł więcej:
Uczuł, że mógłby, niby mistrz powolny,
Ulegać duszy tej wiecznie dziecięcej;
I wręcz już uczuł, żeby mu najmilej
Było przebywać wiecznie w tym szczebiocie,
A teje samej jeszcze uczuł chwili,
Że byłby królem mogąc po robocie
Twardej, po trudach roli całodziennych
Zagrzać swe serce w tych oczach płomiennych,
I uznał, że ta Marya, że to dziecię
Wieczne, odmłodzić może jego życie,
I uznał w niej ideał swojej żony...
I ciężko westchnął raz — i był stracony!

IX.

„Ha! pożegnałem tedy ławy szkolne!
„Nie powiem, aby przykre pożegnanie...
„Mogę nareszcie życie pełne, wolne
„Zacząć, z przyszłością liczyć się, mospanie!—
„Czemuż te trudy przeszłe, idealne,
„Nie nauczyły uprawy tatarski!
„Mam być rolnikiem, trzeba racjonalne
„Wprowadzać tryby do swej gospodarki. —
„Muzo! oj byłeś ty mi miłym zbytkiem!
„Uczyć się muszę teraz, jakby rolę
„Wyzyskać z własnym i kraju pożytkiem;
„Lecz mniejsza! w pocie krwawym i mozole
„Zdobędę cel swój. — Nie lękam się trudu,
„Bo wdzięcznych zasług mam przed sobą pole:
„Dobry gospodarz i przyjaciel ludu
„Czyż nie przysporzę krajowi korzyści?
„Rad sobie będę umiejac się cenić...
„Ach, jeśli nadto coś jeszcze się ziści...
„Jeśli mi Pan Bóg da się z nią ożenić —
„Mieć domek własny, ogień na kominie,
„A przy tym ogniu błogim mieć... Marynię!
„Nie, nie! schowajmy tę myśl na ostatek.
„E, znowu roję! z nałogu, z nałogu!
„Pracować naprzód trzeba, by dostatek
„Miłą żoneczkę powitał u progu —
„Och, bo czyż mógłbym narażać to lube
„Dziecię na braki domowe i smutki?
„Wiem, wiem, że Marya na życia rachubę
„Nie zważa wcale, że lubi wygodki,

„Lecz właśnie, właśnie jest jej to do twarzy!..
„O Maryo! nazwę cię kiedy: moją!?
„Czy twa duszeczka chociażby zamarzy
„O tem, co myśli moje tutaj roją?
„Czy ja zdradziłem ci to okiem, głosem,
„Że twoje losy pragnę spleść z mym losem?
„Znasz, lub przeczuwasz choćby moją skłonność?—
„O moje szczęście! masz tu dłoń mą twardą,
„Bo wiem, bez pracy posiąść cię — to płonność!“

Rzucił się tedy z całą snów pogardą
Do gospodarki; z matczynego spadku
Nabywszy ziemię, począł orać, sadzić,
Na „racjonalność“ nie szczędząc wydatku,
Tak, że potrzebie ledwie mógł zaradzić,
I że gotówki brak mu na ostatku
Nie dał już nawet tego przeprowadzić,
Co zaczął; owszem, grzęznąć temi tory
Wnet nasz bohater spostrzegł — niedobory!

I pełny kielich trosk i rozczarowań
Przyszło wychylić znów — i okres drugi
Zaczął się znowu „marnych usiłowań“ —
Tym razem o grosz... Rosły, rosły długi!
A tu jak gdyby zmówione do knoń
Losu: „poprawne“ rasy, szczepy, pługi
Zawodzą — gleba zawodzi — i nieba
Zawodzą nawet: deszcz i deszcz jak z cebra!
Zapłakał Bolek...

„Ostatnia potrzeba!
„Ojcowski sygnet i matczyne srebra
„Rzuciłem w paszczę tych losów zachłannych,

„I nic już nie mam, i sam jestem niczem!...
„O Anno... gwiazdo moich dni porannych,
„Czemuż z tem swoim anielskim obliczem
„Stajesz znów dzisiaj przed mą biedną duszą,
„Co jest jak anioł z edenu wygnany? —
„Czy chcesz napić się moją katuszą?
„O! zawstydzony ja i ukarany,
„I jestem jakby na własnym pogrzebie,
„Żem zdradził własną duszę! zdradził ciebie!

Byłaby zdolną znieść jaka natura
Wszystkie te burze ciężkie i przewroty?
Tu się zaczyna noc smętna, ponura,
Tu żaden promyk nie dosięga złoty —
Nad duszą brzemień spiętrzyła się góra,
Więc już jej żadne nie tłoczą kłopoty,
I czuje tylko to: że nie umiera! —
I tylko śmierci chce! —

Z tej nocy mglistej
Na chwilę zbudził nam znów bohatera
Dzień, w którym naraz trzy odebrał listy:
Od Anny — z śladem łez i pozdrowieniem
Siostrzanem — „więcej za miłym widzeniem...“
Od Maryi — z śladem serdecznego śmiechu
„Chacha!“ i rączki jej drobnej pośpiechu:
Zapraszający braciszka — na družbę...
Wreszcie pan Michał w trzecim, dobrą wróżbę
Ojcowską wieścił dla przyszłego stadła
I na ślub prosił: „tej, coć siostrą była“ —
Bołkowi oddech uchodził — twarz bładła —
Aż runął, ciężki i zimny, jak bryła.

(Dok. nast.)

SEWERYN GOSZCZYŃSKI.

ZARYS BIOGRAFICZNY

PRZEZ

KAROLA WIDMANA.



epoce porozbiorowej wydawała Polska mężów, którzy przykładali ucha do serca narodu, chwyтали wrażliwym umysłem swoim głęboko utajone dźwięki żywotne, któremi tętni to serce bez świadomości o tem samego narodu, i odtwarzali te dźwięki w dziełach swoich.

Naród poznawał sam siebie dopiero w dziełach swoich myślicieli, poetów, malarzy, mowców i publicystów, nareszcie w czynach wielkich, dokonywanych przez pojedynczych a wynikających z ducha, który ożywia cały naród.

Uwagi tę myśl wyrażające wypowiedzieliśmy już raz na tem samym miejscu, zastanawiając się nad cechą naszej porozbiorowej epoki. Obecnie nastęrcza się wewnętrzna konieczność zastosowania myśli tu wypowiedzianych do pojedynczej osoby, do żyjącego męża, i wskazania naszym ziomkom, wśród których ten mąż zagościł jako starzec, spędziwszy większą część żywota swego na tułactwie, do wskazania, mówimy, na tym mężu wcielonej myśli żywotnej porozbiorowej Polski:

Oto patrzcie, macie pośród siebie jednego z tych, co przykładali ucha do serca ludu, co zrozumieli tętna bijące w jego wnętrzu, ułożyli z nich pieśń lub odziali je w kształty bohaterów powieściowych, i okazali temu ludowi własnej duszy jego tajniki w dźwięcznych, jasnych, ożywionych postaciach.

Seweryn Goszczyński należy do tych mężów, co ukochali całą duszą nie tylko ojczyznę, ale wszystkie myśli i uczucia stanowiące wątek duchowy życia narodowego. Ukochał on zarówno lud, jak i tę naszą ojczyznę przyrodę, z którą lud przed innymi ciągle w bezpośredniej zostaje styczności.

Miłość dla ludu, kochanie jego zwyczajów, podań, baśni, jego skłonności i wstretów, dopatrywanie w nich zawsze myśli zasadniczej, głęboko tkwiącej, samemu ludowi nieznaney, jest jedną z najgłówniejszych cech Goszczyńskiego jako pisarza, i to mu nadaje piętno poety ludowego.

Możeby go kto inny nazwał poetą demokratycznym. My unikamy tego określenia tam, gdzie nie chodzi o cechy i cele polityczne. Demokratyczność oznacza zawsze pewną dążność polityczną, pewne zasady, których rozjaśnianie lub szerzenie bywa echem autorskiej czynności.

Nie dostrzeżliśmy tego w pismach Goszczyńskiego. Jakkolwiek nacechowane gorącą miłością ojczyzny i ludu, jakkolwiek przedstawiające lud nasz ciągle i wszędzie z najszlachetniejszej, najpiękniejszej strony, nie są one jednak w poetycznym swoim nastroju skażone dążnością polityczną.

Najlepiej tłumaczy nam to własna uwaga Goszczyńskiego, którą nam zrobił, gdyśmy się jemu zwierzyli z tem naszym zapatrywaniem:

„Żadne stronnictwo polityczne — takie jest zdanie Goszczyńskiego — najdemokratyczniejsze, nie podnosiło sprawy ludu polskiego w jej czystości, nie miało podstawy właściwej temu ludowi. Widziałem to i dla tego nie byłem nigdy członkiem rejestrowym żadnej demokracji polskiej.“

Pomimo tego braku dążności politycznej, zarówno jak społecznej, ma jednak większa część dzieł Goszczyńskiego cechę społeczną — jego poezya jest poezją ludową. Nie należy on wszelako do tego rodzaju poetów, zwanych ludowymi, którzy pisząc dla ludu, usiłują zbliżyć się tak pod względem formy jak i pojęć do ludu. Czasem przeciwnie, Goszczyński nie odziewał się w szatę sielskości, prostoty ludowej, ale wydobywał z podań i zwyczajów ludu głębokie pomysły, tkwiące na dnie tych właściwości ludu. Dzieła jego nie są przystępne dla ludu, ale opiewają to, co ożywia serce ludu, co drzemie w jego duszy. Podnosi on lud do godności moralnej, do świadomości jego świętych spraw i wielkich przeznaczeń.

Najwybitniejszym zewnętrznym znakiem miłości Go-

szczyńskiego dla ludu jest poświęcenie „Trzech strun.“

Ale to tylko znamię, to jest tylko jednym z objawów tego ducha, który przewiewa wszystkie dzieła Goszczyńskiego.

Działalność poetycką Goszczyńskiego dzieli on sam na trzy okresy: pierwszy przed powstaniem listopadowym, drugi w czasie powstania, trzeci na tułactwie. Odnosi się to jednakże głównie do poezyi zebranych pod tytułem Trzech strun. Wogóle bowiem czas powstania był za krótki i wymagał za wiele czynnego udziału od wszystkich patriotów, żeby się mogli oddawać wiele pracy poetyckiej. Mimo tego nietylko, że duch poetycki Goszczyńskiego nie drzemał w czasie powstania, ale owszem został on pobudzony do wielu przygodnych utworów, które bywały drukowane w ówczesnych dziennikach, odczytywane a nawet spiewane publicznie.

Epoka ta, powstania listopadowego, nie cechuje się żadnem większem dziełem, dla tego zdaje nam się, że najnsadniej podzielić można działalność poetycką Goszczyńskiego na epokę przed powstaniem i po powstaniu.

To zaś, co on podczas powstania pisał, są to wybliski patriotyzmu, naprężonego wówczas do najwyższego stopnia, i stanowiące w jego życiu niezawodnie chwilę bardzo ważnej przemiany duchowej, ale nie mają one pod względem literackim tego znaczenia, co jego prace przed powstaniem i po temże dokonane.

Przed powstaniem zwrócił na siebie szczególną uwagę Goszczyński przez poemat swój pod napisem Zamek Kaniowski. Pisał o nim Maurycy Mochnacki w swojej „Literaturze wieku XIX.“

Sam wybór przedmiotu znamionuje odrębny od innych społecznych kierunek poety. Obrął sobie bowiem był już Brodziński przedmiot z życia ludu, osnuł Mickiewicz na ludowych podaniach i zwyczajach najcelniejsze swoje prace, ale żaden przed Goszczyńskim nie wprowadził na widownię tego społecznego antagonizmu między ludem a szlachtą, którego okropnym objawem był ów wybuch krwawej wojny społecznej, znany w dziejach naszych pod nazwą „Koliszczyzny“ albo „Rzezi humańskiej“, czego obrazem jest „Zamek Kaniowski.“

Lud jest bohaterem Zamku Kaniowskiego, obraz jest jaskrawy, płomienny, a oziębłość, raczej spokój, z jakim poeta maluje tę walkę, to niemal obojętne traktowanie przeszłości, z czego mu niektórzy krytycy zarzut czynią, jest właśnie dowodem, jak bardzo Goszczyński jest poetą ludowym. On uczynił przedmiotem głównym poematu to, co od wieków dojrzało w sercu ludu, aż póki niedojrzało do strasznego wybuchu namiętności, do krwawego czynu. Spokój jego jest klasyczny, homeryczny, poeta nie unosi się za żadną ani przeciwko żadnej stronie, jest to, jak słusznie się wyraża M. Mochnacki, „sprawą prawdziwego artysty, prawdziwego poety.“

Zarzut niepoprawności i zaniedbania pod względem formy, jaki czyni Goszczyńskiemu M. Mochnacki, może być słuszny, gdy jednak przedmiotem niniejszej pracy nie jest krytyczny rozbiór dzieł jego, my podnosimy tylko cechę znamionującą indywidualność Goszczyńskiego.

Duch panujący w Zamku Kaniowskim okazuje nam Goszczyńskiego jako dziecko wieku rewolucyjnego, męża zupełnie nowożytnego.

Duch ten rewolucyjny objawił się bardzo wybitnie jeszcze przed wydaniem Zamku Kaniowskiego (który wyszedł w r. 1828), a mianowicie w „Modlitwie wolnego”, napisanej w ognisku owej walki społecznej, w Humaniu r. 1824.

Nie stawiamy bardzo wysoko pod względem wartości poetyckiej tej Modlitwy wolnego, ale podnosimy ją jako objaw kierunku nowego, który wówczas zaczął opanowywać umysły w Polsce, kierunku rewolucyjnego, a któremu nikt nie nadał poetyckiego wyrazu przed Goszczyńskim.

Tym duchem rewolucyjnym są przeważnie przejęte poezye Goszczyńskiego pisane przed powstaniem, a zwłaszcza liryczne. W lirykach jego przed rokiem 1831 pisanych jest po większej części przewodniem uczuciem wzdrganie dla dawnego świata, pragnienie nowych myśli, nowych form społecznych, jest przeczucie wielkiej światowej burzy (Pieśń wulkanu, Orzeł, pierwsza część Trzech strun i inne).

Należy nam pamiętać, że właśnie przed powstaniem przebył Goszczyński cały rozwój młodzieńczego wieku. Urodzony w r. 1803 na Ukrainie, spędził całą młodość w tej uroczej krainie, która natchnęła tylu poetów, tam odbywał szkoły i miał za towarzyszków młodości Bohdana Zaleskiego, Michała Grabowskiego, Alexandra Grozę.

W r. 1821 został wtajemniczony do spisku (Braci Wolnych Polaków) pod chorągiew Rejtana. Chwilę tę uwiecznił poeta wierszem „Rejtan.”

Pod wpływem takiego otoczenia i gotującej się rewolucji przebył Goszczyński już przed powstaniem całą koleję burz wulkanicznych w swoim umyśle, jakie wstrząsają wogóle wrażliwe i niedopieroż tak wysoko nastrojone duchy, jakim był i jest duch Goszczyńskiego.

Każda taka burza znalazła swój wyraz w jakim utworze poetyckim. Psycholog mogłby z prac Goszczyńskiego odgadnąć dzieje jego duszy.

Powie kto może, że to samo uczynić można z dzieł każdego poety. Słusznie, ale tylko prawdziwego poety, a takich jest bardzo mało, i niejedyn prawdziwy poeta nieważna chwila, kiedy przestaje nim być, a to często właśnie wtedy, kiedy błysnie światu nowy jakim utworem zjednywającym mu poklaski.

Goszczyński był zawsze szczerem poetą, nie pisał (co sam o sobie pisząc słusznie podnosi) „nigdy w widokach

zysku materyalnego.” Jednak jeszcze ważniejszym niemal, bo rzadszem jest to: że nie pisał nigdy „dla rozrywki, dla uciechy własnej lub innych.” Ocenia on nader surowo to skażenie powołania poetyckiego: „Powołanie poezyi pochodzi według mnie (tak pisze Goszczyński) z takiej wysokości, że zamieniać je w narzędzie igraszki lub rokoszy, w trefnisię lub nierządnicę, uważam za jedną z wielkich zbrodni moralnych, wielką w czytelniku, jeszcze większą w poecie. Szanowałem też samego siebie tyle, żem się nigdy nie zniżył do podobnego spodlenia. Nie pisałem nawet nigdy dla oklasków, dla chwały ludzkiej.”

Dla tego odbija się w dziełach Goszczyńskiego szczerzej i rzetelniej jego dusza i cały żywot jego duchowy, niż we wielu innych.

Widzimy w poezyach, które zaliczamy do najwcześniejszych, młody umysł rozpatrujący się w sobie i w świecie, w całym uniwersum; to go zafanawiają tory, jakimi idzie genialny umysł, to zjawiska przyrody, w których malowaniu Goszczyński jest mistrzem, i objawiające się w nich prawidła wszechmocy, to znowu potocznego życia zdarzenia, albo wielkie historyczne fakta i charaktery, nareszcie smutne losy ojczyzny; wszystko to pobudzało młodego poetę do rozmyślań, do marzeń, do odgadywania tajemnic tkwiących za zewnątrz zjawiskami, tajemnic, dla których ludzie zwyczajni zupełnie są obojętnymi.

W tych poezyach Goszczyńskiego napotykamy często głębokie filozoficzne pomysły, i odbija się w nich owa epoka tak płodna dla Polski, która wydała głębokich myślicieli i naszych wielkich uczonych, obok pierwszorzędnych poetów, era przedrewolucyjna pracująca nad tem, aby, jak mówi Mickiewicz,

„pchnąć świat nowemi tory.”

Z epoki medytacyjnej i czysto uczuciowej przechodzi młodzieniec w świat czynu. Przypuszczony w r. 1821 (a zatem zaledwie lat 18 licząc) do tajemnego związku, staje on bliżej owego wielkiego ołtarza w świątyni dziejów, na którym zdawało się, że ludzkość odbędzie całopalenie ofiarne swojej przeszłości i wzniesie się na zgłiszczach dawnego świata w nowej, odmłodniałej postaci, a na tej widowni nowego życia wystąpi nasza ojczyzna, jako przodująca postępowi.

Takim duchem, takimi przeczuciami i pragnieniami tchną prace Goszczyńskiego, pisane na lat kilka przed powstaniem.

Goszczyński opuścił Warszawę 1821 r. i odwiedził ją w r. 1828. Cały ten czas przebył na Ukrainie. „Był to dla mnie czas rekolleksji. W tym czasie wiele pisałem, wiele czytałem, a najwięcej myślałem. W tym czasie położyłem w sobie grunt do działania na polu religijnem i politycznem”—tak się wyraził względem nas Goszczyński o tym peryodzie swego życia. Uczucia, myśli i cele najcelniejszych umysłów, pałających w owym czasie najżyw-

szym ogniem dla sprawy ojczystej, a zarazem dla sprawy reform społecznych, przybierały u Goszczyńskiego kształty poetyckie, i tak powstawały owe utwory, co zrodzone w ognisku wulkanicznym padały jak iskry żarzące na serca rodaków i wznęcały coraz większe płomienie zapachu patriotycznego.

Nadeszła wreszcie chwila kulminacyjna, zamysły przeszły w czyn, nadzieje się ziściły, wybuchło powstanie listopadowe.

Uczucia i myśli wzięły inny kierunek, zachwyt szczęścia ogarnął wszystkich z początku, i na to wszystko znalazł poetycki umysł Goszczyńskiego odpowiednie formy.

W pismach politycznych z czasu powstania r. 1831 znajdujemy przeważnie poezje Goszczyńskiego zastosowane do chwili i przewyższające swoją wartością wszelkie inne wówczas się pojawiające.

Upadek powstania nie rozdarł tego dzielnego umysłu, nastroił go nieco odmiennie, ale nawet i teraz główny ton został ten sam, cecha istotna nie zmieniła się. Goszczyński został jak był poetą ludowym i zachował charakter społeczny w poezji, który mu nakazywał zawsze w ludzie upatrywać źródło życia narodowego.

Wygnaniec, tułacz we własnym kraju, znalazł się Goszczyński w najpiękniejszej stronie Galicji w tatrzańskich okolicach.

Bawił on tu przez lat kilka, nim go nieprzyjazne dla emigracji stosunki zmusiły szukać przytułku na obcej ziemi.

Epoka ta, tułactwa między rodakami, jest najobfitszą w najcelniejsze utwory Goszczyńskiego; tu powstała So-

bótką, ten uroczy obraz życia ludu górskiego, rzucony z całą miłością dla ludu, dla piękności w przyrodzie i dla ojczystej strzechy, jakiej zdolne jest tylko serce polskiego poety, zakrwawione nieszczęściami ojczyzny.

Z tej epoki pochodzi Oda, powieść przenosząca nas w czasy Bolesława Chrobrego, ostatnich wysileń upadłego pogaństwa przeciwko chrześcijaństwu w Polsce, odgrywająca się także w tej cudnej okolicy.

Te same strony maluje z życia ludu zaczerpnięty obrazek Straszego strzelca, łączący podanie ludo-

we z patriotycznym znaczeniem tajemniczego apostoła.

Szczytem jednak poetyckiej działalności, a owocem natchnienia zaczerpniętego w czarujących swoją przyrodzoną pięknnością ustroniach, jest Król Zamczyska.

Nie będziemy się rozwodzić nad tem dziełem, nad jego wartością, przypomniemy tylko czytelnikom naszym, że Król zamczyska stał się niemal podobnie ulubionem dziełem, jak Marya Malczewskiego, i oczekiwał się już kilku edycji. Król zamczyska nie jest ani poematem, ani powieścią, chociaż ma formę powieści, a zawiera w sobie zasób na szereg poematów, powieści lub dramatów, najfan-

tastyczniejszych, najdziwniejszych, a przecież osnutych na głębokiej prawdzie.

Okres tak obfity w dzieła, stanowiące ozdobę naszego piśmiennictwa, zamknął płodną działalność Goszczyńskiego.

Na tułactwie we Francji odezwało się jeszcze kilka razy bolejące serce, to z powodu śmierci Szymona Konarskiego, to w rocznicę listopadowego powstania. Głównie jednak zajęty był Goszczyński w tej epoce zbieraniem i wydawaniem swoich prac.



Seweryn Goszczyński. (Rys. K. Młodnickiego.)

Gdy dla piśmiennictwa zabłysnęło na chwilę przy-
jaźniejsze usposobienie ze strony Moskwy, wydano w Pe-
tersburgu jego Dziennik podróży do Tatrów.

Był Goszczyński także jakiś czas redaktorem
Pszonki; bodaj nawet czy pismo to nie zawdzięczało
swego powstania autorowi „Piotra Pszonki Jasień-
czyka“, przynajmniej dał on pochop ku temu, bo wła-
ściwym twórcą pomysłu do wydawania Pszonki był Lesław
Łukaszewicz. Ale pierwsze zformułowanie było istotnie
dziełem S. Goszczyńskiego i Lucyana Siemieńskiego.

Dziwną sprzecznością w rozwoju umysłu poety wy-
dawać się może ta okoliczność, że redaktor pisma, które
stawiało między innymi Towiańskiego pod pręgierzem
śmieszności, stał się potem sam jednym z najgorliwszych
zwolenników Towiańskiego.

Dziwną wydaje się taka okoliczność ludziom, co nie
są w stanie pojąć, na jakie przemiany i przejścia z jednej
ostateczności w drugą jest wystawionym umysł poety.

Diwnem może się wydać to przejście takim ludziom,
którzy nie mają dosyć samoistnego zdania, aby przekonać,
których się raz chwycili na ślepo, nie zmienić, skoro się
o ich mylności przeświadczą. Wszakto od nawrócenia św.
Pawła aż po najnowsze czasy mamy właśnie w rzeczach
religijnych najwięcej przykładów zmiany przekonań, i to
właśnie na umysłach najcelniejszych. Tylko ciemny zupełnie
człowiek trzyma się ślepo raz nauczonego dogmatu. Ale
bywają tacy ciemni między ludźmi bardzo wykształconymi,
którzy się mają za postępowych dla tego, że się uczyli
teorii lub zasady nowej w swoim czasie, która jednak
wstępuje w głąb i znika wobec odkrycia innej prawdy.

Goszczyński upatrzył w Towiańskiego nauce prawdę
i przyjął ją; powziął on—jak sam powiada—to przekonanie,
„że to, co podaje Towiański, jest dziś najwyższem Chrze-
ścijaństwem, najjaśniejszym pokazującym ludzkości ducha
„Chrystusowego i istotę jego dzieła na ziemi.“

Większa część ziomków potępiła naukę Towiań-
skiego bezmyślnie, mało kto zbadał ją krytycznie. Nie
tu jest miejsce roztrząsać i oceniać naukę Towiańskiego,
ale do nas należy zdać sobie sprawę z powodów, jakie
Goszczyńskiego mogły nakłonić do przyjęcia tej nauki.
Wprawdzie widzieliśmy, że Towiański wywarł wpływ prze-
ważny na wszystkie najpotężniejsze umysły w emigracji,
i to właśnie na poetów, więc niepowinniśmy w tem nic
dziwnego upatrywać, że i Goszczyński uległ temu wpły-
wowi. Może zastanawiać uleganie temu wpływowi u Go-
szczyńskiego więcej niż u innych, z powodu, że był on zawsze
bardziej realnym, więcej myślącym niż marzącym poetą,
więc zdawałoby się, że powinien być mniej być przystę-
pnym dla apokaliptycznych widzeń i nauk Towiańskiego.

Rozpatrzywszy się jednak bliżej w pracach Goszczyń-
skiego, spotkamy we własnym jego duchowym usposobieniu
wyjaśnienie, dlaczego przylgnął do nauki, która zaludnia

świat cały niewidzialnymi zastępami istot, zwanych du-
chami dlatego, że są niepochwytne dla naszych zmysłów.

We wszystkich pracach Goszczyńskiego odbija się to
przekonanie, że obok, a nawet wśród tego świata przy-
stępnego dla naszych zmysłów, istnieje świat drugi, któ-
rego zmysłem dotknąć nie możemy. Najwybitniej objawia
się ta wiara w Królu zamczyska, gdzie człowiek
przez powszednich ludzi za szalonego uznany, podniesiony
jest do godności ideału tylko przez to, że we wszystkim,
co go otacza, w całym, zwykle tak zwanym bezżywo-
tnym świecie, znajduje uczucie, myśl, życie, że świat ten jest
dla niego zaludniony istotami, które dla powszedniego
zmysłu i umysłu nie istnieją.

Goszczyński nie tai się z tą wiarą, ale jej nie głosi
i nie szerzy, trwa przy niej stale; a że to wytrwanie jest
skutkiem nie omamienia lecz głębokiego namysłu, o tem
się najlepiej przekona ten, kto pozna zblizka jasny i
trzeźwy umysł tego sędziwego, a pomimo sędziwości
swojej rzeskiego przedstawiciela najpiękniejszych epok
naszego porzobiorowego wieku.

Najdobitniejszym zresztą dowodem tego usposobienia
Goszczyńskiego jest jego „Posłanie do Polski“,
ogłoszone drukiem w r. 1869.

Dzieło to mniej znane, niż na to zasługuje, nacecho-
wane głęboką religijnością, wypowiada także wiarę autora
o dziejowym posłannictwie Polski i politycznym jej zna-
czeniu, zgodną ze zapatrywaniem się na sprawę naszej
ojczyzny, które w ostatnich czasach coraz więcej zyskuje
zwolenników.

Pozwolimy sobie powtórzyć tu parę ustępów, które
w pięknej, poetycznej formie orzekają to same przeko-
nanie, jakie niejednen z dzisiejszych publicystów głosił i
głosi. Zetknięcie się to natchnienia poety z wyrozumowa-
niami wnioskami publicysty w jednym i tym samym punkcie
jest dla nas tem większą rękojmią, że obydwaj mają słu-
szość, że przekonania ich są wynikiem dziejowej ko-
niecności.

Przedewszystkiem czujemy się obowiązani podnieść
myśl przez Goszczyńskiego wyrzeczoną, że Polski lud
nie obcą pomocą, ale własną siłą powstanie:

Ten to lud Bożej, a nie swej woli

Żyje prawdziwą ojczyzną;

Nie bije o nią czołem nikomu,

Krwi swej na oślep nie leje,

Ani się wkłada do swego domu

Jak się wkładają złodzieje,

Sprawy swej chytrze nie wszywa,

Ani jej obcemi lata,

Ona mu z jednej sztuki i żywa

Jak była Chrystusa szata.

Wierzy on, że nam wszyscy pomogą,
Gdy się Bóg pokaże z nami,
Ale nie będzie wprzągał nikogo
W swoje jarzmo podstępami...

Gdzieindziej znowu wyraża autor „Posłania do Polski“ jej znaczenie dla narodów słowiańskich:

Aby od końca do końca
Błysła Polska niebios brzaskiem,
Aby do niej, jak do słońca,
Jak za ciepłem, jak za blaskiem
Zbiegły się w godnym nacisku

Pobratnie Słowian gromady
I przy wspólnem już ognisku
Siadły do bratniej biesiady

Daj to Panie!...

Nie możemy zresztą godniej zakończyć niniejszej pracy, jak życząc sędziwemu poecie i nam samym tego, o co on prosi:

Daj to Panie! gdy dasz Panie,
Jedno mi tylko pragnienie,
Jedno, o Polsko, zostanie —
Dzielić twoje odkupienie.

Kilka szczegółów do charakterystyki ś. p. Henryka hr. Rzewuskiego.

Żaden może z najmierniejszych pisarzy naszych nie doznał po śmierci większego zapomnienia, obojętniejszego uznania prac i zasług swoich, niż smutnej niezapreczenie pamięci, ale jeden z najznakomitszych naszych literatów, Henryk Rzewuski. Autor pamiątek Soplicy, którego dzieła za życia rozchwytywano, czytając je z przemiennem uczuciem admiracji, gniewu i oburzenia, nie doczekał się dotychczas nawet obszerniejszego pośmiertnego wspomnienia, ani rozbioru prac swych, ani chociażby ujemnej życia biografii. W dziennikach i pismach peryodycznych zaledwie datę jego zgonu zanotowano, zaledwie chronologiczny spis prac jego literackich podano, tych prac, o których za życia autora tak było głośno, o których wydawano sąd częstokroć zbyt może surowy i stronny, ale które też znajdowały i sumiennych sędziów, co z pośród brudów i błota i znakomitą ich stronę odszukać umieli. Za daleko uniosła nas gorliwość patriotyczna i uprzedzenie do wad człowieka, zanadto jednak niepospolitego, abyśmy bez uszczerbku dla krajowej historii i literatury mieli prawo odmówić mu poważniejszego pośmiertnego wspomnienia. Jako pisarz zasługiwał na to Rzewuski pod wszystkimi względami — on bowiem bodaj pierwszy był twórcą u nas prawdziwej powieści historycznej, pojętej z całym poczuciem i wdziękiem kolorytu historycznego, z formą artystyczną, z malunkiem wiernym i głęboko wystudyowanym epoki, której dzieje kreślił, z elegancją, która jej otworzyła podwoje najarystokratyczniejszych salonów, żywiących się dotąd jałowemi płodami obcych literatur, uprzedzonych przeciw wszystkiemu, co z pod pióra pisarzy naszych wychodziło. Do tych zasług jego policzyć nadto jeszcze należy przechowanie, jeżeli nie wskrzeszenie z martwych języka ojczystego, tej jędrnej nieskażonej mowy Zygmunów, której

zaniedbanie w ostatnich czasach pośród zdolnych nawet pisarzy naszych krzewiło się z niesłychaną szybkością. Jako człowiek przedstawiał Rzewuski typ indywidualny smutny, ale niemniej przeto na studium zasługujący. Uosabiał on w sobie wszystkie wady zgangrenowanego społeczeństwa ostatnich lat ubiegłego stulecia, zatrutego oddech najeźdców, którzy jedną dłoń cisnąc wszystko, co zdrowe i swoje-ojczyste, drugą otwierając do judaszowego uścisku, ukazywali łechcące szychowe błyskotki, znaczenie i order w upodleniu. Dusza jednak polska chwilami przeczuwała dwoistość tych uścisków, a wyrwijając się z nich strzelała częstokroć najpiękniejszymi światłami promieniami, jakby na dowód, że nic ją oszpecić, nic blasku jej zaćmić nie w stanie. Takie chwile miewał niezapreczenie Rzewuski i w życiu i w zawodzie swym pisarskim — i niejedno byśmy na poparcie tej prawdy przytoczyć mogli — a jego Pamiątki Soplicy jak żywe słowo, na odparcie czynionych mu zarzutów stać zawsze i jaśnieć będą. Kto tak umiał poczuć prawdziwe piękno polskiego szlachectwa i wzniosłą jego stronę podnieść do ideału, jak to uczynił autor Soplicy, tego o brak narodowego uczucia pomawiać niepodobna.

Pomimo wszystko, co mówiono i pisano o Rzewuskim, pomimo widoczną złą wolą nacechowanych niektórych pism jego, jak owe sławne Pamiętniki Michałowskiego, nie uwierzmy nigdy jednak, aby miał być złym Polakiem, aby kraju swego gorąco nie miłował. Gdybyśmy już nawet szlachetniejszych a więcej oddalonych pobudek na odparcie tego zarzutu, tak często Rzewuskiemu stawionego, nie szukali, znajdziemy je już w samych arystokratycznych wyobrażeniach jego. Rzewuski był panem do szpiku kości, dumnym ze swych rodowych tradycji, jak żaden może

z jego współczesnych; jakże więc wierzyć w brak miłości tego człowieka dla tego wszystkiego, co tak ścisłym węzłem z prozapią świetnych jego przodków było połączone, co mu ją tak żywo uwydatniało, co cisnęło pod pióro jego tak wspaniałe nieraz obrazy. To też był on fanatyczną niemal czcią przejęty dla przeszłości swojego narodu, ale dla przeszłości wielkiej, świetnej, na przewadze możnowładców opartej; z zasady więc był przeciwnikiem wszelkich reform późniejszych, działań konfederacji i najszlachetniejszych walk narodowych o wolność na równości stanów opartą, bo widział w nich zaturę przywileju, podkopanie tego, na czym moc i potęgę narodowej budowy opierał. Tym to usiłowaniami, grzeszącym jedynie może niewczesnością, przypisywał w przekonaniu swoim, uniesiony uprzedzeniem, upadek narodu — a jak każdy Polak mądry po szkodziu, gdy się rzecz nie udała, zasady swoje wypowiadał głośno, malował jaskrawymi kolorami, niezważając częstokroć, jak świeże rozdzierał rany, w jaką wpadał paradoksalność broniąc swych idei. Nie można zaprzeczyć, że rozmiłowaniu w swych rodowych tradycjach, w świetnych czynach swych przodków, zawdzięczał po części Rzewuski talent swój pisarski, jako powieściopisarza historyczny. Potomek hetmanów, senatorskie dziecię, już z wrodzoną niejako intuicyą odtwarzał on wielkie postacie przeszłości, co innym, z większem daleko wysileniem za pomocą talentu tylko przychodziło; ufał więc w tę swoją intuicyą Rzewuski, wierzył w nią jak w prawdę ewangeliczną, i to go unosiło aż do twierdzenia, że aby trafić w prawdziwy koloryt dziejowy, potrzeba być koniecznie szlachcicem i to karmazynowym, t. j. potrzeba mieć rodowo-historyczne tradycje nie z książek ale z wychowania i życia, których to tradycyji nadać może tylko osobiste poczucie historycznej prozapii. Łatwo sobie wyobrazić, jak podobne zasady, jak z trójnoga wygłaszane, zwłaszcza w czasach, w których pisał Rzewuski, przyjęte być mogły, jaką chryję przeciw niemu wywoływały, gdy dodamy narzeczcie, że już zajaśniał był wówczas na literackiej arenie mąż ubogiego szlacheckiego rodu, z mieszczań wyniesionego — twórca Mohorta i Pacholęcia hetmańskiego, gdy z pod strzechy litewskiego zaścianku wychodziły już na świat Boży Obrazy i podania litewskie Chodźki.

Prawdą jest i to, że jakkolwiek wielkopańskie tradycje pomagały pod pewnym względem Rzewuskiemu do twórczości w rzeczach historycznych, były one jednak poniekąd i przyczyną jego wyłączności w tych materyach. Po mistrzowsku malował on postacie magnatów senatorów, kasztelanów i wojewodów, ale i zasklepiął się w tej swojej sferze, nie umiając ani dość jasno ani żywo ogarnąć innych warstw społecznych w narodzie, zespolić się, wtajemniczyć w żywioł czysto szlachecki; to też jego wizerunek szlachcica nie zawsze bywał wierny, nie zawsze prawdziwie poczuły, częstokroć karykaturalną grzeszył prze-

sadą; znał on dworaka we dwoje zgiętego przed panem, schlebiającego jego narowom, „pieczeniara“ albo rębakę z szablą na wpół wyciągniętą, zawsze do bójkii gotowego, z dymiącą czupryną, pogrążonego w trunkowej atmosferze; szlachcic zaś niepodległy, na kresach, towarzyszc pancerny, był to typ całkiem dlań obcy, którego nie dotknął prawie, zaledwie tu i ówdzie w Pamiątkach Soplipy naszkicował. Nie mamy zgoła zamiaru kreślić szczegółowej biografii Rzewuskiego, brak nam sił i materyałów odpowiednich do tego, ani też myślimy zapuszczać się w krytyczny rozbiór prac jego; tego ostatniego, w części przynajmniej, dokonał mąż uczony, krytyk i filozof nasz, Koronowicz, podpisujący się zgłoskami W. W. na licznych artykułach w tej treści w Athenaeum umieszczanych. Sąd Koronowicza o dziełach Rzewuskiego był tak jasny, tak bezstronny a uczony, że go sam autor, niemający zresztą zwyczaju odpowiadać swym krytykom, uznał zapaśnikiem godnym i szlachetnym i w długą z nim wdał się polemikę. Ciekawy ten spór dwóch ludzi zarówno uczonych, zarówno miłością dla dziejów ojczystych przejętych, toczył się przed laty w Tygodniku Petersburgskim i w Athenaeum Kraszewskiego, a poruszył nie jedną ciekawą kwestyą tak dziejów krajowych jak filozofii i religii dotyczącą; — korespondencye te zasługują ze wszech miar na zebranie ich w jednym zbiorze.

Staraliśmy się usprawiedliwić Rzewuskiego, o ile to się zgadzało z przekonaniem naszym, sprostować błędny w naszym mniemaniu sąd o pisarzu niepospolitym, o mężu głębokiej nauki i duszy o ile nam widzi się nieskazanej, pomimo ciężkich pozorów, jaki ścierał na siebie niekiedy. Grzeszył jednak Rzewuski bardzo w obec narodu, a winy jego tem cięższe, tem mniej usprawiedliwione, że umysł jego głęboki i spuścizna tradycyji tak wielka, tem snadniej dozwalały mu poczuć narodowe prawdy i jędrnem słowem głosić takowe nakazywały. Otóż największym błędem Rzewuskiego, błędem, który go w następstwie na najfałszywsze drogi pociągnął i oniesławił w obliczu narodu, była wrodzona z natury już złośliwość, sarkazm, który następnie po pierwszych wymierzonych nań pociskach w wyzwolony cynizm się zamienił. Od błędu z rozmysłem, z intencyą popełnionego, do zupełnego upadku jeden krok tylko, tak też się stało i z Rzewuskim. Młody, dowcipny, zaufany w zdolnościach swych i w stanowisku społecznym, już z lat młodzieńczych pochop do satyryczności okazywać zaczął, choć nic zaprawdę na drodze życia mu nie zawadzało, nie zręczności do rozwoju tej wady nie podawało. Już w pierwszych zaraz próbkach pisarskiego zawodu dał się z tem poznać Rzewuski, a zawistni talentu a może i stanowiska młodego pisarza koledzy pióra, w lot podchwycili to usposobienie, i padły pierwsze na niego pociski, roznamiętione następnie do zakresu zaciętej, zjadliwej walki, której areną stał się popularny wówczas Tygodnik

Petersburgski, a której koryfeuszów wymieniać nie chcemy, bobyśmy musieli uwłóczyć ludziom zbyt znakomitych dziś zasług na polu pisarskiem, a których niepoohamowanie nie ustępowało niczem zjadliwości Rzewuskiego i nieraz cień na zasługi ich później zdobyte i na charakter ich publiczny rzucało. Z upodobaniem chwycił Rzewuski każdą ujemną stronę, każdą wadę i słabośćkę społeczeństwa, w którym żył, z którym obcował, wyciągał ją na wierzch, a obdarzony umysłem bystrym, badawczym, malował ją w najjaskrawszych barwach, rozbiierał, dyssertował, chłostał nie miłosiernie z całą siłą dojrzałego krytyka. Tak powstały owe sławne Mieszaniny Obyczajowe, w których jednak autor okrywszy się pseudonimem Bejły, dotknął wyłącznie tylko wad obyczajowych swojej prowincyi, ludzi, na których patrzył, wad, które znał dobrze, i z całą siłą słowa postawił je pod pręgierzem opinii publicznej. Gromy wówczas posypały się na Rzewuskiego, krytyki jadem i żółcią przesiąkłe, a które najlepszym już były dowodem, jak trafnie i głęboko autor w sam rdzeń złego uderzyć potrafił. To też Rzewuski ze spokojem i godnością moralisty, filozofa, wytrzymał pociski, nie odpowiadając na nie ani słowem usprawiedliwienia, czem większą jeszcze zawziętość przeciw sobie obudził. — Mieszanin nie przebaczone mu do końca życia.

W 1851 roku założył Rzewuski przy współdziałaniu Augusta Wilkońskiego w Warszawie nowe pismo codzienne literacko-polityczne: Dziennik Warszawski. Wilkoński zaraz w początkach usunął się od tego wydawnictwa, a s. p. Julian Bartoszewicz objął redakcją jego, Rzewuski jednak głównie całą machiną kierował i sam artykułami swemi Dziennik zasilał. Tak obsadzony Dziennik nie dziw, że wkrótce stał się najwyborniejszem pismem, jakie kiedykolwiek wyległo się na bruku warszawskim. Fejleton i korespondencje z zagranicy i z wszystkich ziem dawnej Polski odznaczały się w niem wspaniałym wyborem i treścią jędrną — o ile na to pozwalały warunki cenzury — toż i dział polityczny. Wszystko więc wróżyło jak największe powodzenie pismu, które niepotrzebowało już wyrabiać sobie stanowiska, a miało je zdobyte od początku imionami wydawcy i redaktora. Ale Rzewuski nie mógł dłużej wytrzymać bez narażenia się, bez obrażenia publiczności, nie zważając nawet na szkody materialne w przedsięwzięciu, którego i strona finansowa obojętną mu być nie mogła; wystąpił więc raz z artykułem „Cywilizacja i Religia“, w którym ni mniej ni więcej, ale odmówił wszelkiej zasługi rozumowi i pracy, a obstawał za przywilejem. Takie niefortunne wystąpienie wydawcy, którego pióro poznano od razu, o mało nie zabiło Dziennika i wnet uszczupliło grono jego prenumeratorów. Sumienny Bartoszewicz jak mógł błąd ten załatać usiłował, Rzewuski psuł mu jednak ciągle i coraz to z czemś nowem wystrzelał, aż ostatecznie w kwietniu 1854 roku i sam zniechęcony coraz

to zmniejszającem się powodzeniem pisma i publiczność zniechęciwszy swemi wybryki, usunął się zupełnie z redakcyi — Bartoszewicza przy niej pozostawiając.

Wszystko to jednak były małe utarczki tylko, jakby przedbojowe szermierki z opinią publiczną narodu; depopularyzował się niemi Rzewuski, drażnił, jątrzył — a tego chciał właśnie, ale nie ściągnął na siebie ostatecznego wyroku. Ten zaś czekał go dopiero po ogłoszeniu owych sławnych Pamiętników Bartłomieja Michałowskiego; w pierwszej chwili wywołały one ogólny okrzyk oburzenia, lecz wkrótce i od nich i od autora odwrócono się ze wzgardą. Bo też na to tylko zasługiwał Bejła, przebrawszy już w tej potwornej publikacyi miarę cynizmu; urąganie się z narodu i z dobrej wiary publiczności zbyt było widoczne w tej książce, a tem boleśniesz, że fałszując z rozmysłem dziejowe wypadki, poniewierał co było najdroższe dla zboląłego narodu, podnosił do apoteozy to, czegooby się ten naród rad był zaprzec, co za chorobliwy, w nieszczęściu poczęty plód swój poczytywał. Nie umniejsza to wprawdzie winy Rzewuskiego, lub nie o wiele przynajmniej, ale rozpatrzywszy się z zimną krwią w tych Pamiętnikach, nie możemy powątpiewać, że Rzewuski ani na chwilę nawet nie mógł wierzyć w to, co kładł w usta fikcyjnego, jak się zdaje bohatera swojego Michałowskiego, tem mniej, aby autor Pamiętek Soplicy i Zamku krakowskiego podzielał polityczne przekonania jego. Pomijamy już tendencyjne, pozbawione wszelkiego historycznego zmysłu, nielogiczne określenie w tych Pamiętnikach wielkich dziejowych wypadków, jak Sejm czteroletni, konstytucya 3. maja i t. p., które człowiek znający dzieje ojczyste, jak Rzewuski, przez ironią chyba tylko mógł wypisać; ale już samo ocenienie i charakterystyka wielkich sław narodowych, na ówczesnym horyzoncie politycznym występujących, jak: Małachowski, obaj Potoccy Stanisław i Ignacy i Kołłątaj, śmiech raczej i politowanie niż oburzenie wywołać były zdolne, toż i apoteoza i panegiryki dla rozpustników i szulerów Targowickich. I to wszystko miało być politycznym credo Rzewuskiego — któż zaiste bez uprzedzenia wiarę temu dać zdolny? Rodzi się więc pytanie, na cóż to robił Rzewuski, jeżeli politycznych złych tendencyj, zamiaru bałamucenia młodszych pokoleń skażonem pojęciem o dziejach ojczystych przypisywać mu nie mamy, jeżeli sam w robotę swoją nie wierzył i śmiał się z niej w duchu? Otóż w naszym mniemaniu Rzewuski ani na chwilę nie myślał, aby książką swoją, tak potwornymi dziwolągami historycznymi przepełnioną, mógł zgorszyć kogokolwiek, spaczyć bodaj najslabszy umysł młodzieńczy, bo nie ogłaszałby jej z pewnością, a w najgorszym razie zręcznieby przeprowadzał zbrodnicze swe dzieło; szło mu więc o to tylko, aby wywołać oburzenie ogółu, podrażnić, rozjątrzyć go w najdotkliwszych strunach uczuciowych — to bowiem było ulubionem zadaniem jego złośliwej, żółcią przeciw ludzkości

prześiąkłej natury—i celu, jak widzimy, dopinał wybornie, nie troszcząc się o wybór środków. Straszna to jednak była igraszka; przebaczyliśmy mu chętnie miotanie się na literatów i literaturę krajową w ogólności, jak to czynił w przypiskach do Listopada i do tychże samych Pamiętników Michałowskiego, ale targnięcia się na największe relikwie narodowe, na jego bole i pamiątki, nie możemy inaczej jak zbrodnią karygodną nazwać, i taki też zarzut zasłużył go od ogółu pod koniec pisarskiego żywota spotkał.

Po Pamiętnikach Michałowskiego, przesycony nieustanną wojną, jaką z ludzkością, z ziomkami swymi prowadził, zużyty na ciele i na duszy, jakby na pożegnanie wypuścił Rzewuski w świat ostatnią swoją powieść: Paź złotowłosa — utwór wstrętny, poczwarny, noszący już na sobie wyraźne cechy umysłowego i moralnego rozkładu. A był to jeszcze nowy zwrot, nowy wybryk kapryśnego magnata, na drodze, której nie próbował dotąd — w kierunku erotycznym, płód wyuzdanej rozpusty, godny bachanaliów, w których tonął stary Rzym; i tym nareszcie zakończył swoją literacką karierę — karierę, w której tak długo i z takim pożytkiem społeczeństwu swojego kraju mógł służyć.

Takim był Rzewuski jako pisarz. Życie jego domowe zarówno jak i działalność literacka przeplatane było to uczciwą zasługą obywatelską w cichym zakresie prowincyi, to najdziwaczniejszymi wybrykami, uwłaczającymi stanowisku jego społecznemu, o które zdawał się dbać tak bardzo, ale nawet uczuciu godności Polaka. Powołany wyborem szlachty wołyńskiej na marszałka powiatu żytomirskiego, przez lat kilka spełniał urządowanie to zgodnością i poświęceniem, których mu nieprzyjaciele nawet odmówić nie byli w stanie, bronił z zapałem interesów szlachty, ucierał się o jej przywileje z gubernato-

rami miejscowymi, ani siebie ani grosza na usługi obywatelskie nie oszczędzając. I cóż, po złożeniu urzędowania zamiast osiąść w wiejskim zaciszu, w rodzinnym Cudnowie, i cieszyć się przywróconym mirem u swoich, znowu zachciało się publicznego życia p. Rzewuskiemu. Udał się więc do Warszawy, gdzie namiestnikował wówczas Paszkiewicz, a ująwszy go sobie, przyjął ofiarowane sobie nędzne stanowisko urzędnika do szczególnych zleceń przy osobie feldmarszałka. U Moskali posada ta ma dwojakie znaczenie, szpiega albo nadwornego błazna; pierwszym nie był Rzewuski z pewnością, ale potomek hetmanów, pan tak dumny ze swojego rodu, nie wahał się przyjąć drugiego. Nigdy zaprawdę nie zrozumiemy tego epizodu jego życia, tak upokarzającego, tak sprzecznego z wyobrażeniami, które wyznawał. Prawda, że żaden z urzędujących Polaków nie był więcej od niego zbliżony stosunkiem poufalitym prawie do dumnego i nieokrzesanego Moskala, ale właśnie dla tego może była to rola błazeńska, boć przecie tym ostatnim na dworach wielkich panów wszystko bywało wolno. Paszkiewicz drwił z Rzewuskiego, nie szczędził w jego przytomności całego narodu polskiego. Rzewuski dowcipnie, napół żartem oddawał mu dobrem za nadobne — mnóstwo anegdot z tego czasu pozostało po nim; smutne to jednak było stanowisko pana kasztelanica, smutne i jego dowcipy. Paszkiewicz wkrótce upodobał sobie towarzystwo dowcipnego polskiego literata, że już się z nim rozłączyć nie chciał; powlókł go nawet z sobą na wojnę turecką, gdzie mu kazał być świadkiem niustannych swych porażek, nareszcie sromotnego odwrotu od Sylistryi. Jakie to było stanowisko Rzewuskiego na Wschodzie, co robił przy Paszkiewicz, trudno wiedzieć, nigdy bowiem o tem później wspominać nie lubił.

(Dok. nast.)

Ciekawska.

(Obacz rycinę na stron. 180.)

Pełno woni w ogrodzie...
A, to kwiatki tak wonią!
Dzwoni piosnka w drzew chłodzie...
To czyżyki tak dzwonią!
Ot tam dom nasz... nie... może?
Ot tam ścieżki jest załam;
Już słyszałam, widziałam,
Ach, mój Boże, mój Boże!

Dziadek siedzi na ganku,
Mamcia brząka kluczami,

Kasia spieszy krzakami,
Niosąc wodę we dzbanku;
Ktoś się skrada pod ścianą:
Co to?... co to być może?...
Z mlekiem... tak, jak co rano...
Wczora mleko wylałam...
Już widziałam, słyszałam...
Ach, mój Boże, mój Boże!

Cicho, cicho! coś puka...
Jakiś hałas u stryja...

Et, i zgadnąć nie sztuka:
Stryjek w ścianę gwóźdź wbija;
Codzień stuka w tej porze,
Nawet go nie pytałam...
Ach mój Boże, mój Boże!
Już widziałam, słyszałam...

Wiecznie jedno, to samo;
Namęczyłam się z mamą,
Zanim wreszcie mi dała
Do spiżarni pójść z sobą;
Ach, jakżebym ja chciała
Być już wielką osobą,
I wyjść rankiem czy nocą.
Elementarz już czytam,
I znam czarno na białem —
Co zobaczę, zapytam;
Cóż, gdy w domu już całym
Nie ma pytać się o co!..

Chodzę ciągle i chodzę,
Z kąta w kątek najskrytszy;
Oglądam się po drodze
I wciąż wołam: dlaczego?
Lecz nic nie ma nowego,
Chyba, że Jan wciąż brzydszy;
Wczoraj zmilczał, choć wiedział,
Na co kupić dwie klatki?
Wysłałam z łóżka, choć bosa,
I pobiegłam do tatki,
A tatuńcio powiedział:
— Na papugę i kosa —

Czekałam tej papugi!..
Ptak zwyczajnie, jak drugi:
Żółty — straszne mi rzeczy!
Tak jak żaba wciąż skrzeczy;
I kos — także uczony!..
Najprzód milczał jak niunia,
Teraz gwiżdże te tony,
Co harmonium dziadunia;
Ach! chyba się rozplączę
Sama nie wiem dlaczego...

Kiedyż ja co nowego,
Ach! nowego zobaczę?!

Parkan bardzo wysoki!..
Mama łązić zabrania.
Raz pytałam się Frania,
Co tam widzi? — Obłoki...
Zuch! „Obłoki“ — powiada —
Ale jakie obłoki?!
Ach, jakżebym wejść rada!
Kiedy taki wysoki...
Zajrzę: może gdzie dziurka...
Coś tam brzmi, jak fujarka —
Żebyż szpara, choć szparka!
A! posłuszna ja córka...
Mama łązić nie każe!
Przecież jeszcze nie włożę,
A spróbować — cóż szkodzi?
Jeszcze mi kto przeszkodzi...
Stąpię nogą na sęka:
Może wierzchu dostanę...
Aj! aj! ręce zdrapane!..
I daremna to męka.
Stanęłabym na ławie,
Lecz za ciężka, z kamienia;
Chyba... koszyk przystawię!
Koszyk pełen nasienia...
Cóż wielkiego? — wysypię,
Potem zbiorę do ziarka...
Żebyż szpara, choć szparka!
Ach, aż w oczy mię szczypie,
Takbym spojrzeć się chciała!
Lecz wciąż jestem za mała.
Wyciągnijmyż się troszkę,
Troszkę, troszkę już ino;
Oj, oj! starłam znów nóżkę
I krwi krople z niej płyną...
Już nie mogę! zejść wolę,
Z wyteżenia drzą łokcie...
Jakiż płot ten wysoki!
Nuż! stańmy na paznogie —
Hurra!! wzięłam płot mocą!
Co!.. obłoki?! Co! pole?!
.....
Byłóż drapać się po co!..

WŁADYSŁAW ORDON.

NIESZCZĘŚLIWA.

POWIEŚĆ

PRZEZ WOŁODEGO SKIBĘ.

(DOKOŃCZENIE.)

IX.

Okoliczności zatem tak fatalnie się złożyły, że z Marynią nie przyjechała do Moracina wesołość, i że twarz biednej, znudzonej hrabiny jak przedtem zasępioną pozostała.

Co gorsza, po jej główce zaczęły się roić dziwne myśli.

Wynałazła sobie czy stworzyła jakiś kodeks, według którego Ignacy i Marynia, a nawet Julian, byli ciężkimi winowajcami względem niej. Ignacy ją zdradzał poprostu, Marynia zawodziła stałą, wierną i wypróbowaną przyjaźń, Julian popełnił niedarowaną nieprzyzwoitość, uchybił wszelkim konwenansom.

Wszystko to było jak najwyraźniej napisane w tym kodeksie.

Ignacy kochał Stellę i nie otrzymał jej ręki; kodeks w tym razie nie wskazywał mu bynajmniej, jak ma postąpić, zostawiał mu wszelką swobodę wybrania drogi, jakąby uznał za najdogodniejszą, z wyjątkiem tej tylko jednej, na którą się puszczał właśnie. Wolno mu było wyjechać na koniec świata, albo zastrzelić się, albo innym jakim sposobem życie sobie odebrać; wolno mu było schudnąć i zmizernieć, wolno zachorować lub zostać kamedulą, ale pocieszyć się, zapomnieć, zakochać w innej i żenić — nigdy!

A Stella, która, jak wiemy, nie dopytywała się Maryni o bliższe szczegóły jej romansu, była najmocniej przekonaną, że Ignacy żenił się dla tego, że się pocieszył, że zapomniał, że był zakochany — w innej... „W innej,“ — to było najstraszliwsze słowo w wymyślonym przez nią kodeksie.

Co do Maryni, ta niemniej przedstawiała się czarno w świetle paragrafów ustawy, według której Stella ją sądziła. Miała ona wszelkie prawo zrobić konkietę pana Strzępskiego z Grządek, lub kogo jej się podobało wreszcie, albo się zrezygnować na staropanieństwo; ale zabierać kogoś, co należał do orszaku tryumfalnego jej przyjaciółki, wydzierać zdobycz tej przyjaciółce, przywłaszczać sobie człowieka, który stał się jej własnością, już przez to samo, że przez nią został... odrzuconym... a! gdzież znowu!...

Nie śmiecie się łaskawi czytelnicy, nie ma pod słońcem kobiety, któraby obojętnie przyjęła do wiadomości, że ten, którego nie chciała ani za kochanka ani za męża, przestał ją kochać i pokochał inną. Że tak jest, wszystkie

piękne panie poświadczą, a jeżeli pięknie poprosicie, może wam nawet powiedzą, dla czego nie jest inaczej.

Julian powinien był pamiętać, że przed trybunałem kobiety jesteście odpowiedzialni nie tylko za czyny nasze, ale i za przypadki od woli naszej niezależne. Kto się naraża na *salto mortale* na intencją „okrutnej“ a choćby nawet i „łaskawej“, niechże się dobrze naprzód zabezpieczy, ażeby, gdy mu przyjdzie kark skrócić, nie spadł przypadkiem na miątki piasek, albo na puchowe poduszki. Wolno mu się dać ocalić tej, którą kocha, jeżeli ona zechce się tem zająć, ale ocalić się samemu, ale zgrabnym koziołkiem wykręcić się od nieszczęścia, *ah! fi! quel mauvais genre!*

Były na takie przestępstwa w kodeksie wymyślonym przez Stellę przepisane kary doraźne, a wyrok ferowała ona sama, procedurą nadzwyczaj krótką, bez pozwów, bez obrony i bez apelacji.

Zostali też niebawem potępieni wszystko troje, nie szło już o nic więcej, jak tylko o wybór kary.

Resztę dnia poświęciła bohaterka nasza rozmyślaniu nad tym wyborem, a przy tem rozmyślaniu twarz jej pochmurniała coraz bardziej, nie było to bowiem wcale takie łatwe zadanie, jakby na pozór się zdawało.

Należało przedewszystkiem nie dopuścić, żeby uplanowane małżeństwo Maryni z Ignacym przeszło z dziedziny teorii w dziedzinę faktów spełnionych, przeciwko którym, zupełnie tak jak w tegoczesnej dyplomacji, w kodeksie Stelli nie było ratunku. Należało użyć do tego jakiejś intrygi, a do tej intrygi wplątać koniecznie Juliana, i to w sposób, o ile podobna, najtragiczniejszy.

Takie zadanie postawiła przed sobą Stella i długo, długo łamała nad niem głowę, w czem zresztą nie ma nic dziwnego, bo niejedyn dramaturg, gdyby go do takiej zadano łamigłówni, nie prędko dałby sobie z nią radę.

Przychodziły jej rozmaite myśli, ale odrzucała jedną po drugiej, coraz bardziej z siebie niezadowolniona. Jedne zdawały się jej za śmiałe, innych skuteczność była wątpliwą, praktycznego środka nie było.

Z początku wyrzucała tylko sobie, że nie jest dość pomyslową, lecz to trwało bardzo krótko, bo jest to właściwością natury ludzkiej, że w oskarzenie samej siebie najmniej bawić się lubi i najłatwiej się uniewinnia, skoro tylko może wynaleźć jakiś pozór do złożenia winy na drugich.

U żón zazwyczaj w takim razie koźlem ofiarnym bywa mąż.

I kto winien temu wszystkiemu? — powiedziała w duchu Stella — kto winien? nikt inny, tylko Ludwik... Gdyby mnie nie porzucił, gdyby mnie nie opuszczał, gdyby ta jakaś tam cnota i powinność obywatelska nie była w jego sercu moją rywalką, naturalnie nie nudziłabym się; gdybym się nie nudziła, wystarczyłoby mi to, co mnie otacza, nie jeździłabym dzisiaj po tę awanturę z panem Julianem, i byłoby mi zupełnie obojętne, że się żeni i z kim się żeni pan Ignacy. Ludwik nie stara mi się wystarczać, Ludwik nie chce wszystkich chwil moich sobą zapełniać, Ludwik jest przyczyną mego nieszczęścia... O bo ja jestem nieszczęśliwą, bardzo nieszczęśliwą, doprawdy!

Gdy to myślała, dwie małe łezki gniewu i nadąsania kręciły się w kąciakach jej dwojga ślicznych oczu...

Tak, jestem nieszczęśliwą — powtarzała w myśli — jestem nieszczęśliwą, bo płaczę... nie byłam przecieź samą i nie płakałam, gdym była panną, więc Ludwik winien... on, nikt więcej... Jestem nieszczęśliwa już dziś, cóż będzie za rok, za dwa lata, przez całe życie? Opuszczona, skazana na samotność, zostawiona samej sobie, na łasce ludzi obojętnych i nieżyczliwych... a to okropne!

Wpatrując się w przerażającą perspektywę swojej przyszłości, aż załamała ręce nieboraczka.

Próżno Marynia dokładała wszelkich starań, ażeby ją rozweselić... dawna młodzieńcza pustota i wesołość Stelli żadnem zakłębieniem nie dawała się przywołać do życia. Czuła się ona nieszczęśliwą bez ratunku, i im więcej myślała o

swojem nieszczęściu, tem hyperboliczniejsze przyjmowało ono w jej umyśle rozmiary.

Do wieczora nie rozwiązała zadania, które sobie rozwiązać postanowiła, a gdy poszła na spoczynek, sen uciekał z jej powiek, tylko w ciemnościach nocy w coraz potworniejszych barwach ry-

sowało się przed jej wzrokiem jej obecne i jej przyszłe nieszczęście.

Nad ranem dopiero usnęła.

Poranek miał jej przynieść niespodziankę. Ludwik nagle, nieoczekiwany wrócił z podróży.

Gdy otwierała oczy, spojrzenie jej spotkało się z jego oczyma, w jej prześliczną twarz wpatrzonemi.

Nieszczęście pierzchno nagle razem z sennymi marami, szczęście wróciło i było przy niej.

— Ty, Ludwiku? — zawołała — przyznaj się... czy wróciłeś?... nie, ty mi się śnisz chyba.

— Wróciłem, skorzystałem z najpierwszej chwili — odpowiedział Sternicki, składając namiętny pocałunek na jej czole.

— I nie pojedziesz? — zagadnęła ciekawie.

— Niestety!.. zaczął z westchnieniem.

Stella zakryła mu rączką usta.

— Nie mów tego, nie waz się mówić tego — szczebiotała — ja nie chcę o tem słyszeć, czy rozumiesz... ja nie chcę...

— Mój aniołku...

— Ani słowa.. zostaniesz.. nie pojedziesz nigdy i ni-

gdzie... chyba ze mną... niech sobie ci, którzy nie mają szczęścia w domu, szukają jego mary po szerokim świecie... ty zostaniesz ze mną i dla mnie, cały dla mnie i tylko dla mnie... O! żebyś, wiedział mój drogi, jak mi tu było okropnie bez ciebie... jakam ja była nieszczęśliwa!..

— Dziecko jesteś, rokoszne dziecko... Stello!



C i e k a w s k a. (Obacz stron. 177.)

— Niech i tak będzie... kapryśne dziecko, dodaj... zgoda i na to... ale zastosuj się do tego jedyne go kaprysu... zrób tylko tym razem, co ja chcę... we wszystkim innym Stella będzie grzecznym, posłusznym dzieckiem... zobaczysz...

— Czy ty wiesz Stello, co to jest obowiązek?..

— Obowiązek jest to ciężar, który bierze na barki ten, kto musi, a zrzuca z bark ten, kto może... wierz mi, to definicya doskonała, jeżeli nie wierzysz, spytaj się Maryni... Ah, à propos Maryni, muszę ci powiedzieć, że teraz nie pojmuję, jak ona mi za panieńskich czasów mogła wystarczać bez ciebie... Wystaw sobie, że wczoraj, kiedy ciebie nie było, jam jej prawie nie lubiła, a teraz kiedy ty już jesteś, czuję, że ją znowu zaczęłam kochać tak jak dawniej, czuję, że zapomnę wszystkiego, com przez całe wczoraj myślała, ale pod jednym warunkiem...

— Pod jakim? — uśmiechnął się Sternicki.

— Pytasz się, więc zgadujesz, że to od ciebie zależy... tak... od ciebie jedynie... pod warunkiem, że będziesz żył tylko dla mnie... że nie pojedziesz.

— Zobowiązałem się uroczyście... a choćbym nie był przyrzekał, sprawa kraju sama przez się zobowiązuje obywatela...

— Sprawa kraju... ja się na tem nie znam, mój drogi, ja się na tem nie chcę znać... tylu ludzi w to się nie miesza, tylu jest szczęśliwych, dla czegoż ty?..

— Moje dziecię, gdyby wszyscy tak myśleli...

— Ah! zawsze wszyscy... co mnie do wszystkich?... co oni mnie obchodzą? Ty i ja, ja i ty, my we dwoje, my jesteśmy wszyscy dla siebie...

— To egoizm, aniele...

— Egoizm we dwoje nazywa się miłością i przestaje być egoizmem, tak mi się przynajmniej zdaje, jeżeli nie wierzysz, spytaj się Maryni... no, no, nie drażnij się ze mną...

— Stello, w takiej jak ta chwila, mężczyzna przyrzeka kobiecie wszystko...

— Więc przyrzekasz?..

— Chciałem powiedzieć: wszystko, co może dotrzymać.

— Więc odmawiasz?..

— Czy ty mi wierzysz, że cię kocham?..

— Dajmy na to, że wierzę...

— Więc wierz mi także, że nie odmawiałbym, gdybym mógł.

Stella westchnęła.

Ludwik zaczął jej wykladać konieczność, która go zmuszała do tej podróży. Mówił długo, mówił przekonująco. Kreślił wymownie stanowisko obywatelskie i przywiązane do tego stanowiska obowiązki, malował dosadnymi barwami postępowanie tych, co się od spełniania takich obowiązków uchylają, dowodził, że życie bez udziału w ogólnej pracy społeczeństwa nie jest życiem, napomynał, że nawet kobieta w swoim zakresie może się do tej pracy

przyczyniać, powinna jej szukać, wykazywał, że istnienie zasklepienie w egoistycznym używaniu własnego mienia, w roskoszowaniu się własną pomyślnością, w pamiętaniu tylko o sobie, nie daje szczęścia, chociaż się szczęściem zdawać może pozornie...

Stella wpatrywała się w niego i słuchała. Z początku niecierpliwiła się troszkę tem kazaniem i szukała w myśli argumentów, które mogłyby odeprzeć te wywody, powoli jednak zwyciężała ją wymowa, aż na ostatku porwała zupełnie.

— Masz słuszność — rzekła, gdy Ludwik przerwał na chwilę — masz słuszność, jedź, powinieneś jechać... Człowiek, a szczególnie mężczyzna powołany jest do wyższych przeznaczeń, niż ciche i spokojne szczęście domowe, i ma przed sobą rozleglejsze zadania... Marynia, widzisz, byłaby się odrazu na to z tobą zgodziła, ale i ja, mój drogi, nie jestem ani uparta, ani zła... patrzaj... przystaję.

— Szczerze, Stello?

— Najszczerzej... jedź... ale wracaj jak będzie można najprędzej...

Tegoż dnia jeszcze Ludwik wyjechał, i Stella znowu pozostała sama z Marynią.

Przez pierwszy dzień tej nowej samotności, urozmaiconej zresztą pobyttem przyjaciółki, chwile jej biegły jako tako, zostawała jeszcze pod wpływem niedawno słyszanych słów męża, i nawet, nawet zapuściła się z Marynią w rozbiór owych sposobów, któremi kobieta, zostająca na jej stanowisku, mogłaby się przyczyniać do wspólnej pracy nad dobrem ogółu.

Marynia w tej rozprawie wskazywała jej najrozmaitsze przedmioty, naprzykład pracę nad oświatą i umoralnieniem ludu, wpływ na podniesienie zamiłowania literatury i sztuki ojczystej, na wykorzenienie z salonów cudzoziemskiej, udział w zbiorowych uświetnieniach kółek, mających za zadanie ulżenie losu nędzy i nieszczęścia... Gdybyśmy powtórzyli tę rozmowę, byłaby ona niezawodnie niezłym traktatem o obywatelskim posłannictwie kobiety w kraju naszym; ale że traktatu takiego nie piszemy, gdyż najprawdopodobniej niktby go nie czytał, powiemy zatem tylko w krótkości, że wszystko to dosyć się podobało Stelli, po bliższym jednak namyśle na wszystko odpowiadała:

— Piękne to, śliczne, ale przyznam ci się, że wolalbym wybrać co innego...

I Marynia wyczerpała całą swoją encyklopedyą, a odpowiedź Stelli zawsze była ta sama.

Nazajutrz zaczęły jej przychodzić na myśl rozmaite bardzo trafne uwagi, któremi jak sądziła, byłaby pokonała stanowczo wszystkie rozumowania i argumentacje Ludwika, gdyby jej się były nasunęły w swoim czasie... Była niezadowoloną z siebie, że na te pomysły wpadła tak późno, i humor jej zaczął się stawać z każdą prawie chwilą kwaśniejszym.

Trzeciego dnia nudziła się już tak, jak w przeddzień przyjazdu Maryni, a na czwarty dzień była jeszcze nie- szczęśliwsza, niż w dniu jej przybycia i katastrofy Juliana. Rozmowa z mężem miała już czas zupełnie wywietrzeć z jej główki, i od myśli o obywatelskich obowiązkach kobiety powróciła znowu do dumań nad ową tragiczną intrygą, która dla niejednego dramaturga byłaby twardym do zgryzienia orzechem.

Że mąż ją opuszcza, krzywdzi, unieszczęśliwia, było znów dla niej pewnikiem niezbitym i żadnej niepodlegającym dyskusji, tak samo jak i to, że Julian, Marynia i Ignacy, za przykładem tego niegodziwego męża, spiknęli się przeciwko niej i straszliwie względem niej przewinili.

Co się odwlekło zatem, nie uciekło wcale.

Z głęboką wiarą w swoje nieszczęście Stella postanowiła pomścić się za nie na szczęściu innych.

Ułożyła sobie cały plan i zamierzyła natychmiast, bez żadnej zwłoki i wahania się, wprowadzić go w wykonanie.

Przystąpiła do tego z jakąś gorączkową ruchliwością, która w zadziwienie wprowadziła Marynię.

Pełno jej było w całym domu, wydawała rozkazy sprzeczne, niepotrzebne, zbyteczne, odwoływała je, poprawiała, zmieniała, słowem cały mechanizm domowy bez wyraźnego powodu wprawiła w ruch taki, jakby się na coś ważnego zanosilo.

Sama była ciągle tem lub owem zajęta. To kazała przestawiać meble w salonach, to posyłała po rządców i oficyalistów, których nie było pod ręką, a gdy przyszli i stanęli na rozkaz, zapominała, co im miała do polecenia, to siadała przy biurku i zabierała się do pisania listów, karteczek, bilecików niewiadomej treści i przeznaczenia.

Skończywszy taki bilecik albo list, pieczętowała go starannie, adresowała, potem przypatrywała się adresowi, pociągała ręką do dzwonka, jakby w zamiarze zawołania kogoś, aby tę korespondencją odwiózł na pocztę lub odesłał na miejsce przeznaczenia przez umyślnego posłańca, ale wstrzymywała się i mówiła do siebie:

Jeszcze nie dziś, jeszcze nie wszystko przygotowane... jutro...

I list lub bilecik znikał albo w tajemniczej skrytce jej biurka, albo w kieszeni, lub za gorsem.

Maryni, gdy jej się spytała o przyczynę tej wyjątkowej ruchliwości, dawała odpowiedzi wymijające, obojętne, blahe, nijakie, za to z myślą swoją prowadziła rozmowy częste, urywane, jakby uporem zwalczała jakieś własne skrupuły i obawy.

Dobrze — mówiła do siebie — pan mąż ma obowiązki, pan mąż nie ma czasu, panu mężowi się przykrzy mówić ciągle, że mnie kocha, choć mu to było łatwo przez parę pierwszych miesięcy... dobrze... obejdę się bez niego... jestem przecież młoda, nie jestem brzydka, znajdą się prze-

cież jeszcze ludzie, którzy mi to mówić będą... choćby tylko pan Ignacy, choćby pan Julian, choćby nie oni ale inni... Marynia powiedziała by może, że uczciwa żona słuchać podobnych rzeczy niepowinna... oh! ale Marynia to dziwaczka, purytanka, Marynia to może święta, a ja jestem tylko kobieta... Ciekawam, w czym tu przeciw uczciwości wykroczę?... nic przecież złego robić nie myślę, będę się bawiła tylko... urządzę sobie orszak zakochanych, będę jak jaki wódz na zelny otoczona świtą adjutantów, będę się wsłuchiwała w zefiry ich westchnień, będę się z nich śmiała, a gdy mi się który znudzi, to go porzucę, jak robiłam kiedyś z lalkami... Tak jak z lalkami... Widzę dziś, że kobieta na to jest stworzona, żeby się zawsze lalkami bawiła, dlaczego mam być wyjątkiem?... Pan Ignacy chce się żenić z Marynią... no, no... poczekajmy troszeczkę, co z tego jutra będzie... a pan Julian... hm! hm! przekonamy się jutro, czy on dla mnie nie zdolny do czegoś więcej, niż do koziołka w piasek z wysokiej drabiny...

To mówiąc wydobywała przygotowane listy z kieszeni, z biurka, z za gorsu, przeglądała je, nie otwierając, wpatrując się tylko w kształt kopert i w litery adresów, potem znów kładła je na miejsca, nie przykładając jednak żadnej wagi do jakiegoś w tem porządku. Te, co były w kieszeni, szły za gors, te, co spoczywały za gorsem, otrzymywały nową kwatere w schówce biórkowej lub kieszeni, jednym słowem Stella nie zastanawiała się bardzo nad tem, co robiła, i postępowała tak, jakby chciała z jednej przedsięwziętej, niewielkiej jakiejś pracy, zrobić sobie stucznie przez ciągle powracanie do niej i przerabianie niepotrzebne, zapas zajęcia na cały dzień.

Dzień ten wreszcie dobiegł do końca, do jutra pozostała już tylko noc, jedyna granica, jaka oddzielała chorą na urojone nieszczęście bohaterkę naszą od wejścia na drogę, na której mogła dojść tylko do rzeczywistego nieszczęścia... Powiadają, że między czarą i ustami, do których ta czara się zbliża, jest jeszcze na nieszczęście dość miejsca; tu była tylko jeszcze wązka nadzieja, że między punktem, na którym zatrzymała się Stella idąc na spoczynek, a tym, z którego nazajutrz rano chciała wyruszyć na wabiące kwiecistością bezdroża, znaleźć się mógł jaki drogoskaz, z ramieniem skierowanym ku tej cichej ustroni, w której mieszka szczęście prawdziwe.

X.

Jak za panieńskich czasów Stella z Marynią, w nieobecności męża naszej bohaterki, przepędzały noc w jednej sypialni.

Ośmielmy się przekroczyć próg tego przybytku, choćby nam surowi krytycy wielkopolscy powiedzieć mieli, że czyniąc to przekraczamy kodeks moralności, purytańskiej jakiejś zapewne i obłudnej, bo z katechizmową i nefary-

zeuszowską staraliśmy się zawsze być w zupełnej zgodzie.

Nie usłyszymy tu już tej wesołej i lekkiej pogadanki przednocnej, jaką usłyszelibyśmy zapewne, gdybyśmy się byli tej niedyskrecyi dopuścili jeszcze w Gromnicach.

W sypialni młodej kobiety i młodego dziewczęcia gościły tej nocy poważne i ciężkie myśli.

Marynia miała ochotę po dawnemu wybadać Stellę, ażeby dojść przyczyny jej zagadkowego usposobienia i niepojęcie zwarzonego humoru. Stella obmyślała, jakimby sposobem zagadnąć Marynię, ażeby zręcznie i gładko uzyskać od niej aprobatę dla swych zamiarów. Sumienie jej mówiło, że się zwraca na błędną drogę, że sobie niewłaściwy plan życia wytyka, pragnęła więc je uspokoić choćby podstępnie uzyskanem usprawiedliwieniem ze strony tej, którą zawsze i słusznie uznawała za poważniej i głębiej myślącą od siebie.

Długą chwilę milczały obie, szukając w myśli, jak najzręczniejsz zawiązać pogadankę, ażeby zaprowadziła do celu, jaki każda z nich sobie zakładała. Jakieś zimno nieufności wzajemnej przeniknęło atmosferę i mroziło im słowa na ustach.

Nareszcie Stella zaczęła.

— Powiedz mi, Maryniu, ale szczerze, ale bez komplementów, tak jak to ty potrafisz, kiedy chcesz... czy ja jestem trochę ładna?...

Marynia uśmiechnęła się.

— A zwierciadło jak ci powiada? — odrzekła.

— Zwierciadło mówi zawsze to tylko, co chcą oczy, które w nie patrzą; gdybym mu wierzyła, nie pytałabym ciebie...

— A więc, Stello, musi to być prawdą, kiedy ci mówię, choć się boję, żebym cię nie popsowała... My kobiety zwykle się mamy za piękniejsze niż jesteśmy, ty jesteś w wyjątkowym położeniu, i nie przypuszczam, żebyś wiedzieć mogła, jak jesteś piękną.

— No, to ślicznie... a teraz powiedz, czy będąc taką ładną, nie jestem czasem taka zła, żeby mnie niewarto było kochać?...

— Ah! Stelciu, tyś doprawdy zanadto wymagająca... policz wszystkich, co cię kochali i kochają, i wymień choć jednego, ktoby cię nie kochał.

— Choć jednego powiadasz, więc jeden ci wystarczy?

— Wystarczy najzupełniej, któż to?

— A kogożbyś ty chciała... mój mąż!...

— Twój mąż?... Ludwik?...

— A no, Ludwik, jeśli do intercyzy nie podał fałszywego imienia.

— I ty to powiadasz na seryo?...

— Najzupełniej na seryo... i w tem właśnie dowód, że jestem nieszczęśliwa... pókim była szczęśliwą... tam... pamiętasz... w Gromnicach... nigdym nie na seryo nie mówiła.

— Więc się ty masz za nieszczęśliwą?

— Alboż nie widzisz sama mojego szczęścia? Ludwik mnie zaniedbuje, opuszcza, porzuca... ma coś, co mu jest

droższem nademnie... Nie powiadam, żeby on był stanowczo zły, inny na jego miejscu poszukałby sobie innej kobiety; on czas, który mi kradnie, poświęca jakimś dobrowolnie przyjętym obowiązkom... w końcu przecież ja tak samo na tem wychodzę, tak samo jestem zaniedbaną, odepchniętą, rzuconą na drugi plan, traktowaną jak coś podrzędnego, tak samo nie jestem wyłączną i niepodzielną panią jego chwil wszystkich, jego serca i jego myśli... dostają mi się okruchy spadające ze stołu innej jego oblubienicy. Prawda, że ta inna nosi bardzo piękne nazwisko, ma się podobno nazywać „powinność“, ale co mi do jej nazwiska i szlachetnego rodu... chociażby była królowa, nie ma prawa żądać, ażebym dla niej zostawała pustelnicą.

— Ależ, Stelciu...

— Nie przyrywaj mi... wiem wszystko, cobyś chciała powiedzieć, bo on mi to sam już powiedział... o! on także mówić potrafi, kiedy chce, tak przekonywająco i wymownie, że na razie odpowiedzieć mu trudno... on mi powiedział nawet więcej...

— Powiedział ci więcej?... cóż jeszcze?..

— Powiedział mi, że to dla niego zupełnie obojętne, jeżeli ja z przyjemnością będę słuchała, gdy mi inni mówić będą, że mnie kochają.

Z równem zdziwieniem, jak Marynia, czytelnik usłyszy zapewne te wyrazy, których Ludwik nie mógł powiedzieć, ani w istocie nie mówił swej żonie. Stella jednakże nie kłamała, to co mówiła, mówiła z dobrą wiarą, z mocnem przekonaniem, że tak było.

Było to skutkiem właściwości charakteru osób do niej podobnych, że wniosek dający się wyprowadzić ze słów czyich, choćby naciąganą logiką, miesza się w ich umyśle z samą treścią tego, co powiedzianem było, i w najlepszej wierze gotowe są brać jedno za drugie.

— Powiedziałam mu — rozumowała sobie Stella — że chcę ciągle słyszeć, iż jestem kochaną, że bez tego nie potrafiłabym się obyć, że bez tego nie umiem żyć... a on mimo to pojechał... Rzecz oczywista, wszystko mu jedno, że mi będą nadskakiwali, że będą się starali zastąpić jego w mojem sercu. Jedno z dwojga, albo taki siebie pewny, że się o nikogo nie lęka, albo zupełnie o mnie nie dba. Może nie mówił mi tego wyraźnie, ale mi mówił takie rzeczy, żeby ta myśl nasunęła mi się koniecznie.

Jest to maleńka próbka logiki, jaką się rządzą w kapryśnem rozdrażnieniu kobiety rozpieszczone, u których harmonia między uczuciem a rozsądkiem nie nastraja się do niezmiennego kamertonu stale przyjętych, wyrobionych i zrosłych niejako z życiem pojęć i przekonań.

Marynia, jak się łatwo domyśleć, nie chciała uwierzyć od razu, żeby Ludwik tak kategorycznie zadeklarował żonie swą obojętność. Wyraziła więc łagodnie wątpliwość, czem tylko rozdrażniła Stellę.

— O! ja wiem — zawołała — że ty go zawsze bronić

będziesz, choćby przy tobie samej wyraźnie mi to powiedział. Przyznaj jednak, że to już trochę zadaleko posunięte pobbłazanie, moja droga, i że zapewne sama nie byłabyś taką łaskawą, gdybyś była na mojem miejscu. Chociaż zresztą kto wie... tybys się może zdobyła na taki heroizm... ty masz taki charakter, że tobie o wszelkie heroizmy nie trudno... ale ja tego nie potrafię... To też kiedy Ludwik tak chce, kiedy mnie na to naraża, kiedy mnie do tego zmusza, będę taką hrabiną, jak te bohaterki romansów, mające całe armie wielbicieli, dla wszystkich nieublagane, lecz wodzące wszystkich na pasku, upajające się wonią ich kadzideł, szeptami ich zwierzeń i ich westchnień szelestem... Kto stąpi na moją drogę, tego zagarnę do swej sieci, tego przykuję do mego wozu, tego zrobię swą lalką, którą, kiedy mnie znudzi, stłukę lub porzucę... Bo my kobiety, Maryniu... ja także zostałam filozofką po trochu... my kobiety, jesteśmy stworzone na to, żebyśmy się przez całe życie lalkami bawiły, i bez tego żyć nie możemy...

Marynia chciała ją przekonywać, chciała jej dowiedzieć, że postępując tak, jak zamierzyła, wielu zrobi nieszczęśliwymi, ale i sobie tylko swe szczęście zatruje, Stella jednakże posłuchawszy jej tylko przez chwil kilka przerwała:

— *Tu as de beaux sermons dans ton sermonnaire, ma chère*, ale bądź sprawiedliwą i pozostaw ich trochę dla mojego męża, bo on tutaj winien wszystkiemu... ja chcę robić to tylko, do czego on mnie przymusza... Dobranoc.

Umilkły obie, ale obie nie zasnęły.

Marynia rozmyślała nad tem, jakby przyjaciółkę zwrócić z tej niebezpiecznej pochyłości, na którą zstąpić łatwo, ale na której tak mało kobiet utrzymać się potrafi, ażeby nie runąć w głąb przepaści ponętnej i czarownej na oko, na dnie szkaradnej i plugawej; — Stella jeszcze się przekonywała, że żona człowieka, który chce żyć dla świata, powinna być kobietą żyjącą dla świata, i gdy mąż szuka obowiązków poza domem, wolno jest żonie szukać niewinnych przyjemności, zadowolenia swej miłości własnej, w pewnej oddali od domowego ogniska; — jeszcze dowodziła sobie, że rozpoczynając nazajutrz kampanią, którą już ułożyła i przygotowała, żadnych wyrzutów sobie czynić nie powinna, bo jest do tego zmuszoną przez męża.

W takich myślach powoli obie zaczęły przechodzić w ten błogi stan pół jawu pół marzenia, który zazwyczaj poprzedza zaśnięcie.

Nagle wydało się Stelli, że doznaje jakiegoś krótkiego, przelotnego, mgnienie oka trwającego wrażenia, jakiego nie doznawała nigdy w swem życiu.

Wrażenie to samo w sobie dziwne, prędzej nieprzyjemne niż rokoszne, nieopisaną jednak przejmowało ją rokoszą.

Nie była sobie pewną, czy się nie łudzi. Wszystkie inne myśli od niej odbiegły, cała jej istota, cała uwaga,

cała dusza skoncentrowała się w badaniu i rozważaniu tego nieopisanego wrażenia.

W kilka chwil później wydało jej się, że to samo uczucie powtarza się dosyć słabo i niewyraźnie, tak jednak, że o jego tożsamości z poprzedniem wątpić nie mogła.

— Ah! Maryniu!... krzyknęła, klaszcząc w ręce — ah! Maryniu!

Marynia podniosła się na pościeli, nagle z pierwszego snu zbudzona.

— Co ci jest?... słabaś?... zawołała.

— Nie! nie!... cicho... psst! cicho Maryniu... nie mi nie jest... nie mogę ci powiedzieć, co mi jest... ale jutro... czekaj... dziwne rzeczy zobaczysz w Moranicach...

— Cóż takiego, Stelciu?... niepokoisz mnie...

— Ah nic! ah nic! niepokoić się nie ma czego... aby to tylko prawdą było... o! zobaczysz, jaką ja będę... ale zmiłuj się, nie pytaj mnie już o nic, bom się wygadać gotowa, chociaż nie powinnam i nie chcę... spijmy...

Regularny oddech Stelli oznajmił wkrótce Maryni, że jej przyjaciółka i kuzynka tym razem już nie udawała, że zasypia.

Nazajutrz Stella spała dłużej niż zwykle, Marynia uprzedziła ją znacznie we wstaniu, i ubrana już zupełnie siadła przy jej łóżku oczekując, aż oczy otworzy.

Gdy bohaterka nasza ocknęła się i spojrzenie jej zbiegło się z wzrokiem Maryni, w spojrzeniu tem było tyle szczęścia, że niktby nie pomyślał, iż właścicielka tych samych ślicznych oczu wczoraj jeszcze tak gorzko i z takim przekonaniem nieszczęśliwą się nazywała.

— Dzień dobry ci, Stelciu, zdrowa jesteś?... zagadnęła ją Marynia, byłam nieco zaniepokojoną o ciebie, bo w nocy majaczyłaś trochę...

— Majaczyłam... o nie Maryniu... zdaje mi się, że ja nie majaczyła wcale, a raczej że ja majaczyłam w dzień... Poczekaj... przekonamy się o tem zaraz... Idź do mego buduaru, otwórz te skrytki w biurku, jest tam kilka zapieczętowanych listów, rozpieczętuj je, przyczytaj, wyśmiej się ze mnie i spal, a przedewszystkiem nim tam pójdziemy, każ, żeby tutaj do mnie przyszła Kogutowska, i broń cię Panie Boże, chociażby się paliło, nie powracaj do mego pokoju, dopóki ja z nią będę rozmawiała.

Wszystkie te rozporządzenia Stella wydawała żywo, z pospiechem i z tym nieocenionym humorem, który pozostał tradycją w Gromnicach, a z którym po raz pierwszy od swego przyjazdu do Moracina w ustach i na twarzy Stelli spotykała się Marynia.

Wola hrabiny została wykonaną, choć nie co do joty jednakże.

Kogutowska otrzymała natychmiast polecenie przyjścia do pani. Marynia poszła później do buduaru, znalazła wiadome nam liściki, i rzuciła je w ogień, ale nie przeczytała i nie śmiała się z nich wcale.

Nagła zmiana postępowania i usposobienia Stelli była dla niej niezrozumiałą, niepojętą, cieszyła się z niej jednak, bo w niej widziała rzeczywistą zmianę na lepsze.

Urojone nieszczęście pierzchnęło, Stella czuła się znów szczęśliwa, rozsądniejszym okiem patrzyła na swe położenie, dające wszystkie rzeczywiste szczęścia warunki, zaczynała pojmować, że życie nie zawsze godzić się może z rozmaitemi zachceniami kaprysu. Nastąpiła w niej metamorfoza jakaś cudowna. Słowo mogące wyjaśnić tę metamorfozę znajdowało się może w tych bilecikach, które oddawała płomieniom, Marynia jednak zwyciężyła naturalną ciekawość i nie zajrzała do ich treści, przekonana, że nikt nigdy nie żałował, iż się nie dowiedział tajemnicy, z powodu której jego przyjaciel lub przyjaciółka mogliby się kiedyś rumienić.

W kwadrans może Kogutowska przyszła do niej z oznajmieniem, że pani hrabina prosi.

Szczęście Stelli było widocznie zaraźliwe, bo nigdy jeszcze Marynia nie widziała tak rozpromienionej pani Kogutowskiej, niewiasty arcystatecznej, i na wszelki sposób doświadczonej wdowy po dwóch małżonkach, matki kilkonaściorga dzieci, którym przy pomocy i protekcji Sternickich wcale nie źle się wiodło na szerokim świecie. Pani Kogutowska, pełniąca obowiązki gospodyni w moracińskim dworze, zaszczycona przed chwilą poufną konferencją z samą hrabiną, nie należała do tych niezmiernie rzadkich kobiet, którym przyjemnie jest więzić biedne sekretka i tajemnice tak starannie, żeby nie mogły wyjrzeć na świeże powietrze i nacieszyć się między ludźmi; byłaby więc naturalnie zaraz z całej konferencji wypowiadała się przed Marynią; musiało to jednakże być jej zakazanem stanowczo, bo poprzestała tylko na małym napomknieniu:

— Ah! jaśnie panienko, jaśnie panienko!.. czegożbym ja to nie powiedziała jaśnie panience, gdyby to tak było można!.. No, ale jaśnie panienska i tak się przecież dowie... pół roku nawet nie minie, a, jak jestem Kogutowska, jaśnie panienska wszystko będzie wiedziała.

Stella już wstała i ubierała się szybko przy pomocy garderobiany, gdy do niej powróciła Marynia.

— No cóż?.. śmiałaś się bardzo — zagadnęła ją w progu.

— Nie, Stelciu.

— Jaktó? więc tobie, tobie nawet to nie wydało się śmieszkiem, niedorzecznem, może nagannem?.. więc ty to wybaczasz? ty to usprawiedliwiasz? ty to chwalisz?

— Chwałę, żeś kazała spalić, kiedy powątpiewasz, czyś chciała postąpić dobrze...

— Ależ twoje zdanie, twoje zdanie...

— Nie mam swego zdania w tej rzeczy, bo nie czytałam tych listów... cisnęłam je w ogień, jak kazałaś.

Stella spojrzała na nią zadziwiona.

— Wiesz, Maryniu — rzekła — że jabym tego nigdy

nie potrafiła. Ty jesteś wielka. Poczekaj... powiem o tobie, jak pewien sławny król o pewnym sławnym filozofie, ty tam już wiesz lepiej, który o którym.

Przybrała poważną postawę i rzekła uroczyście:

— Gdybym nie była, czem wiem już, że będę, chciałabym być tobą, Maryniu!.. No, ale nie marudźmy długo, zabieraj się do podróży. Zjemy naprędce śniadanie i wyjeżdżamy natychmiast... Kazałam zaprzęgać do powozu...

— Gdzież pojedziemy?..

— Do miasta.

— Po co?..

— A widzisz, że i ty jesteś ciekawa!.. Mówiłam ci w nocy, że się dziś dziwić będziesz... Zobaczysz.

Rzeczywiście zdziwienie Maryni było wielkie. Gdy przyjechały do miasta, Stella kazała się zatrzymać przed handlem łokciowym, weszły tam razem i zaczęły robić sprawunki.

Młoda hrabina kupowała tylko najcięższą webę i koronki. Weby potrzeba jej było dużo, bardzo dużo, parę sztuk zanieść kazała do powozu, koronek szukała najwykwintniejszych, a gdy tych jej było za mało, kupowała mniej cenne, kupiła prawie wszystkie, jakie w sklepie były.

Następnie wsiadły do powozu, Stella kazała zawracać do domu.

— Więc po to tylko przyjechałyśmy? — zagadnęła ją Marynia.

— Po to tylko.

— Ależ to można było kogo posłać... dla czegoż same koniecznie?..

— Przekonaj się moja droga, że filozofia nie na wszystko wystarczy, i że są rzeczy, w których nawet taka rozstrzeżona jak ja mężatka, mędrszą jest od takiej poważnej i myślącej dziewczyny. Po takie sprawunki jabym nikomu jeździć nie pozwoliła... to ja sama robić muszę...

Marynia uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Jestem pewna — rzekła — że gdybym wiedziała, na co to wszystko, tobym cię przekonała, żeś się mogła kim wyręczyć.

— Oho! co nie, to nie!.. są takie, co się wyręczają, ale ja nigdy, ja wszystko, co do mnie należy, sama robić będę, i wiem, że mi tego za złe nie weźmiesz, moja droga.

Powróciły do domu, Stella pociągnęła Marynię do osobnego pokoju i zrzuciwszy ledwie wierzchnie ubranie, zabrała się zaraz do przyniesionej weby, do koronek, do nożyczek.

Z pomocą Maryni zaczęła mierzyć, składać, ciąć.

— Ależ to wszystko szwaczki zrobić by mogły — zauważała Marynia — i daję ci słowo, że zrobiłyby prędzej a może i lepiej niż my.

— Otóż nie, otóż nie... sama przyznasz, jak się dowiesz, co to będzie, że to najlepiej, żebym ja sama robiła...

— Dobrze... ale kiedyż się dowiem, co to będzie? Czy aż za pół roku, jak powiedziała Kogutowska?

— Za pół roku! no proszę... ja do tej chwili ledwie wytrzymać mogę, żem ci tego jeszcze nie powiedziała, a Kogutowska mówi, że się dowiesz za pół roku!.. Nie, nie, nie, powiem ci zaraz... tylko mi w oczy bardzo nie patrz... no, albo lepiej patrz... tak, tak, powinnaś patrzeć... patrz... Mówiłam ci dziś w nocy, że zostałam filozofką i że doszłam do tego, że my kobiety jesteśmy poto stworzone, żebyśmy się przez całe życie lalkami bawiły... Otóż, moja droga, ja za pół roku, może nawet prędzej, będę miała taką, oto taką małą laleczkę, a dla tej laleczki potrzeba mi tej weby i tych koronek na koszulki, czepeczki, podwiązeczki, pieluszki...

W oczach Stelli, gdy to mówiła, błyszczały dwa brylanty łez szczęścia...

— Ta laleczka — szczebiotała dalej — mnie będzie mówiła mamo, a Ludwikowi papo, odemnie weźmie całą miłość moją, a od Ludwika weźmie jego imię, i to imię pięknem być musi, pięknem zasługami położonemi dla kraju, nie tylko hrabskim tytułem; więc mój Ludwik ma słusność,

że tych zasług szuka, a ja... daję ci słowo... odkąd wiem, że tę laleczkę będę miała, już się nigdy nudzić nie będę...

* * *

Bohaterka nasza miała słusność, łaskawy czytelniku. Niech sobie co chcą mówią zwolennicy bezwzględного porównania mężczyzn z kobietami, radykaliści emancypacji kobiecej, faktem jest, że kobieta od kolebki do grobu lalki potrzebuje. Lalka ta naprzód mała, wypchana trocinami, z malowaną twarzą i pustą porcelanową główką, zmienia się potem w młodzieńca z krwi i kości, który z początku nazywa się narzeczony, później mąż; a potem znów przychodzą lalki małe, które rosną powoli, aż nareszcie gdy jej włosy zbieleją, kobieta wraca znowu do maleńkiej lalki—wnuczenia.

A ta kobieta, która z winy losu lub swojej szukać musi do zabawki lalek nieodpowiednych swojemu wiekowi, albo żadnej do zabawienia się nie ma, jest nieszczęśliwą.

KONIEC.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 26. czerwca 1872.

(Wystawa obrazów.—Występy gości pani Modrzejewskiej.—Zebranie akcyonaryuszów Towarzystwa scenicznego.—Opera.—Trzeci koncert Towarzystwa muzycznego.)

Winniśmy dziś przedewszystkiem łaskawemu czytelnikowi najtreściwsze bodaj sprawozdanie o tegorocznej wystawie lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych. Nawiązując więc odrazu do wzmianki o tej wystawie uczynionej w ostatniej kronice naszej, przystępujemy do wytłumaczenia miłych wrażeń, jakie odnieśliśmy tym razem z sali „Domu narodowego“, zastrzegając się z góry, że jeżeli w ogólnych tylko wyrazach dotkniemy przedmiotu tak bogatego, winę tego ponosi szczołość ram naznaczonych nam w tem piśmie.

„Pan Protazy“ Wilhelma Leopolskiego rozpoczyna naszą galerią, a nietylko „z wieku i z urzędu“ zaszczyt ten mu należy, lecz i z tej przyczyny, że najmocniej ze wszystkich towarzyszy swoich rysy swe utrwalił w wyobraźni naszej. Obrazek to pełen mistrzowskiej charakterystyki, właściwej p. Leopolskiemu, który nim złożył o jeden jeszcze więcej dowód niepospolitego talentu swego. Z nadzwyczajną brawurą rzucone są rysy „ostatniego woźnego trybunału“, a nie mylimy się zapewne dodając, że „Pan Protazy“ p. Leopolskiego jest zarazem wiernem odbiciem pierwowzoru swego, który powstał w sło-

necznej wyobraźni wielkiego Adama. Co także niezmiernie podnosi wyraz, duszę kompozycy, o której mówimy, to pyszne tło obrazu i ów tak zwany „ton lokalny“, zlewający harmonijnie wszystkie szczegóły jego przez zanurzenie ich niejako w jednej, zamkniętej w sobie sferze świetlanej. Ton ów jest także właściwością pędzla p. Leopolskiego, i takowy to pociągał tak bardzo oko nasze do dawniejszych już obrazów tego artysty, do „Zakrystyi bernardyńskiej“ mianowicie, i do „Wnętrza bóżnicy w Brodach.“ Przeprowadzony on jest również w obrazku znajdującym się na teraźniejszej wystawie lwowskiej, a przedstawiającym sympatyczną żywicielkę naszą, „Krówkę“ przed wrotyma. Trzeci obraz p. Leopolskiego wystawiony obok powyższych, jest piękny portret panny S., jak tamte skupiający w sobie wszystkie zalety pędzla tego artysty.

Cóż nowego powiedziec da się o obrazach „sportowych“ Kossaka lub perspektywnych Gryglewskiego? Obaj ci artyści uświetniają wystawę naszą kompozycjami swemi, których tym razem nam nie skąpili, bo nadesłali ich po kilka. „Wyścigi krakowskie“ z obrazów pierwszego, a „Wnętrze sali zamku Podhoreckiego“ drugiego, zasługują na wymienienie przed innemi, nie mniej przeto pięknemi ich obrazami na tej wystawie. Tak samo rzecz się ma z akwarelami Franciszka Tepy, dawniejszej wprawdzie daty, lecz zawsze miłemi oku, zwłaszcza zaś z uroczemi sielankami tego artysty.

Dział portretów reprezentują przeważnie prace pp. Grabowskiego i Sidorowicza, pierwsze odznaczające się żywością kolorytu i pewnym samoistnym sposobem malowania, świadczącym więcej o wrodzonych artystycznych zdolnościach niż może o akademickiej jego rutynie. Przeciwnie portrety p. Sidorowicza to jak gdyby studia akademickie, malowane prawidłowo, jakkolwiek nie konwencyonalnie, i nie bez silnego nastroju idealnego. Obrazek zaś rodzajowy pędzla tego artysty „W Kąciku“, przedstawiający dzieciaka odbywającego taką karę, jest kompozycją bardzo udatną w swoim rodzaju i należy do ozdób wystawy.

Prześlicznym, tchnącym dziwnym urokiem poezji obrazkiem jest „Wiosna“ Brochockiego, powiedzielibyśmy tylko, że kompozytor zanadto w głąb, bo prawie na drugi plan zepchnął postacie ludzkie, zapełniając pierwszy falami kwiatów i ziół. Po „Panu Protazym“ jednak najwięcej do nas przemawia na wystawie ta „Wiosna“, tyle tam czaru i wdzięku!

W przyszłej kronice uzupełnimy ten ogólny przegląd tegorocznej wystawy lwowskiej, a dość jeszcze oglądnąć mamy, bo cały dział rzeźby i wiele obrazów niepośledniej wartości nadesłanych później. Tu jeszcze tylko podzielimy się z czytelnikiem miłą wiadomością, że oczekujemy najnowszego obrazu Matejki, znowuż wielkiej kompozycyi historycznej, bo „Stefana Batorego.“ Przyrzeczenie artysty przysłania tego obrazu na tegoroczną wystawę lwowską już podobno posiada Towarzystwo sztuk pięknych.

Występy gościnne pani Modzejewskiej na scenie naszej, które nastąpiły bezpośrednio po występach pana Rapackiego, utrzymują nawet w tej martwej porze zainteresowanie się teatrem w publiczności, a tak młoda scena „trzyma się“, i niechby tylko, „przetrzymała“ miesiące letnie, mamy nadzieję, że rozwinie się najpomyślniej. Dotychczas grywane bywają tylko sztuki znane od dawna, zapewne z powodu ciągłych występów gościnnych, których repertoar jest rzeczą goszczącego artysty; spodziewamy się jednak, że dyrekcya wprowadziwszy w regularne tryby niedopisujący jeszcze swój mechanizm administracyjny, szczególną uwagę zwróci na repertoar, a mianowicie starać się będzie o dźwignięcie oryginalnego dramatu polskiego. Nastąpić to może wszakże dopiero po objęciu ostatecznym zarządu sceny przez Towarzystwo akcyjne i zakończeniu tym sposobem prowizoryum, panującego dotąd w zarządzie. W tych dniach właśnie odbyło się zebranie akcyonaryuszów sceny, które przyjąwszy przychylnie do wiadomości sprawozdanie komitetu zawiadowczego z dotychczasowego stanu sceny i szans jej na przyszłość, uchwaliło energicznie zająć się sprzedażą w całym kraju przez umocowanych do tego delegatów akcyj teatru lwowskiego, których ilość wynosi 2000, podczas gdy 900 zaledwie subskrybowano dotychczas. Polecamy i my laskawym czytelnikom swoim los sceny narodowej w stolicy, przypominając zarazem, że właściciel akcyi, które subskrybować można w Banku hipotecznym galicyjskim, ma w korzyści 20% opustu przy kupnie biletów na wszystkie przedstawienia dramatu i opery.

Do celniejszych przedstawień w ostatnich czasach zaliczamy: „Pojęcia pani Aubray“ komedią Dumasa syna i Szekspirowskiego „Hamleta.“ Pani Modzejewska w obu tych sztukach, równie jak we wszystkich rolach swych gościnnych za-

śluzone zebrała oklaski i bukiety. Niezapomnianą będzie jednak dla nas jako Ofelia w Hamlecie — tak porwijąco pięknie przedstawiła tę nakreśloną zaledwie w szkicu postać Szekspirowską, tak głęboko wniknęła w jej naturę.

Opera rozwija zaledwie pojąć się dającą energią pod względem wystawiania coraz to nowych, wielkich oper. „Lucia“, „Rigoletto“, „Norma“ nastąpiły wnet po „Fauście“ i „Córce pułku.“ Pani Jakowicka na dłuższy czas zgodziła się już pozostać z nami, a nadto zaangażowała dyrekcya p. Zakrzewskiego (tenor.)

Dnia 9. b. m. dało Towarzystwo muzyczne koncert, z którego podnieść należy mianowicie wykonanie wspaniałego utworu Corelli'ego przez podwójny sekstet smyczkowy. Młody wirtuoz p. P. biegle odegrał jeden z pięknych lecz i trudnych zarazem polonesów Chopina, a p. Borkowski, śpiewak opery, tak nam zaspiewał „trzech Budrysów“ Moniuszki, że nic nie pomogło — musiał powtórzyć.

B. K.

Drezno z końcem czerwca.

(Oświata ludu a krak. Towarzystwo ubezpieczeń. — Obchody setnej rocznicy rozbioru Polski u jej wrogów. — Zwrot do nauk przyrodniczych. — „Pisarze dziejów Polskich“ tom Iszy. — Jednostajność w powieści. — Teatry. — Nowy obraz Matejki. — Moniuszko.)

Stał się u was — w Galicyi, w autonomicznej Galicyi — fakt, który nas przejął grozą i boleścią. Domyślicie się, że mówię o poczwarnem wypowiedzeniu wojny opinii całego kraju przez instytucją krajową — o odmówieniu ofiary na oświatę przez Towarzystwo ubezpieczeń krakowskie. Jakikolwiek tłumaczenia i wykłady tego faktu będą się starały go uniewinnić — znaczenie jego dla ogółu pozostanie tem, czem fakt był w istocie. Instytucya wypowiada wojnę opinii i opiera się temu, czego kraj chce, uznając to za zbyt cennym, może nawet grzesznym i niebezpiecznym.

Gdyby się coś podobnego stało dawniej nieco... w innych prowincjach Polski, wiecie, co by potem nastąpiło? Oto wszyscy ludzie serca i ducha porzuciliby owo Towarzystwo ubezpieczeń, założyliby inne lub przeszli całym obozem do innego, choćby obcego. — Wojna? a więc wojna; kraj ma prawo wyboru, a instytucya, co charakter narodowy straciła, tak dla nas jest obcą, jak wszelkie inne Aziendy i Faciendy! Lecz mamyż my tyle męstwa i charakteru, aby Towarzystwo z jego 700.000 guldenów odbiedz i zostawić... na lodzie? Wątpię. Kara by to była zasłużona i słuszna.

Musiałem zacząć od tego epizodu, nie mogąc oburzenia pohamować. Że się nam ten rok pięknie święci, nie mamy potrzeby dowodzić. — Święcą uroczystości rozszarpania bezbronno narodu, który wprzód starano się ze wszelkiej siły odrzeć — Niemcy nad Notecią i Rosyanie w Petersburgu. Spodziewam się, że my tego roku żałoby inaczej, jak wnijsiemy w głąb siebie samych, obchodzić nie potrzebujemy. Setna rocznica jest może czemś okropniejszym, niżeli sam fakt przedstuletni — tamto była łupież namiętna, a to jest uświęcenie, uprawnienie występku, podniesienie go do wysokości zasady, do logicznej teorii. — Nam pozostaje w uroczystej żałobie, milczeniu i pracy apelować do przyszłości.

Z tak zwanych płodów literackich, mało doprawdy mamy do wymienienia. Poważnych prac dosyć — literatura właściwa nie wydaje nic takiego, coby obiecywało nowe w nią wlać życie. Starzy weterani bają dawne dzieje. A że tylko poważniejsze prace mamy przed sobą, o nich też mówić z konieczności musimy.

Z jednej strony należy wzmianka historycznym materjałom, których wydawanie idzie żywo i nieprzerwanie, z drugiej temu zwrotowi do nauk przyrodniczych (dawniej mówiono przyrodzonych), który się tak żywo objawia szczególnie w Warszawie. Gdy Tygodniki katolickie i kazalnice grzmią przekleństwa przeciw nowej nauce i nowym odkryciom naukowym, z drugiej strony chęć chwalebna obeznania się z niemi oparowała czynniejsze umysły. Tłumaczą się więc główniejsze dzieła, i młodszy świat pracujący, którego zadaniem zawsze iść ku przyszłości, chce nie pozostać na poiu naukowem po za Europą zachodnią. Być może, iż w tych pierwszych chwilach zapału ku nowości, zbyt sobie po niej obiecują umysły młode, ale ruch ten cały i trud jest uczciwy i pożądany. Negować i ignorować mogą tylko zacofani, iść śmiało wgląd wszystkiego, co jest na porządku dziennym, to zadanie ludzi przyszłości. Tej żądy nauki winny być swój pisma jak Przyroda i Przemysł, Niwa i wiele innych wychodzących w Warszawie. Oprócz tego znakomitsze dzieła naukowe niemieckie w przekładach polskich się okazują. W ten sposób my, przez lat kilka zacofani, zbyt zatopieni w naszych boleściach i naszej nieszczęsnej polityce, mamy nadzieję doścignąć tych, co nas wyprzedzili. Kilku bardzo dobrej wróżby dla przyszłości pracowników na polu naukowem już liczymy. Młodzież liczbę ich pewnie pomnoży.

Na czele dzieł do dziejów naszych pomocniczych kładziemy świeżo wydany, prawie w chwili zgonu tego, który najwięcej się przyłożył do jego ukazania, tom pierwszy *Pisarzów dziejów polskich*, staraniem komisji historycznej Towarzystwa naukowego krakowskiego... Myśl ta zrodziła się w łonie Towarzystwa, które dziś stało się Akademią umiejętności — w r. 1870; — pierwszym prezesem był nieodżałowany ks. Jerzy Lubomirski, i on też pierwszy fundusz na wydawnictwo zebrać potrafił. Tom wspomniany, którego redakcją zajmował się prof. J. Szujski, nosi tytuł: *Dyaryusz Sejmów koronnych 1548, 1553 i 1570*. Dość jest powiedzieć, iż tych dyaryuszów nam brakło, ażeby ważność publikacji ukazać, pochodzą one właśnie z tej doby, w której do pewnych form, później dziwnie przerosłych i wybujałych, dorabiał się parlamentaryzm polski. Miał on już w zarodzie wszystkie te piękne i ujemne strony, które na sejmie czteroletnim i smutnej pamięci grodzieńskim, tak wydatnemi się stają. Literatura pamiętnikowa, materyały korespondencyjne rosną. Dr. Gumpłowicz wydał korespondencyą króla z hetmanem Branickim z czasów konfederacji Barskiej, rzucającą wielkie światło na te chwile niedosyć jeszcze zbliżka i wewnątrz nam znane. Równie ważną jest korespondencya Kołłątaja z czasów emigracji, o której już wspominaliśmy, zajmie też i historia Sejmu Grodzieńskiego ze źródeł rosyjskich przez Hlowajskiego, wychodząca w polskim przekładzie. Stosunkowo ubodzy jesteśmy w opracowania historyczne — chociaż na materyałach już by dla żywszego umysłu i bystrzejszego historyka nie brakło. Dał

tego dowód Szajnocha, że z tego co mamy, coś zrobić można — ale trzeba mózgi i należy umieć.

O mnóstwie powieści może dla tego nie można nic powiedzieć, że są bliźnięco do siebie podobne. Talentu oryginalnego braknie. Postacie w nich spotykane znamy już do syta. Szczęśliwszą jest pono literatura dramatyczna, mająca młodego Fredrę, Narzymskiego, Bałuckiego, Koziobrodzkiego. Od lat kilku żywe zajęcie teatrem podniosło go i dźwiga z każdą chwilą. Scena krakowska, której zasługi tej odmówić niepodobna, wydała Modrzejewską, Rapackiego, panią Hoffman i nie ustaje w umiejętnie, energicznie prowadzonej pracy. Teatr warszawski nowe życie winien Modrzejewskiej, budzi się scena lwowska, wyłącznie jak się zdaje poświęcona muzyce i operze, obiecuje zrodzić poznańską. Tu warunki są tak trudne, pomimo wielkiej ofiarności księstwa na teatr narodowy, iż nie rychło zapewne potrafi się ona rozwinąć. Utrudniono je tem, że trzeba na gmach czekać, a później dopiero okaże się, o ile samo miasto i prowincya do utrzymania go moralnie i materyalnie przyłoży się będą zdolne. Konkursa krakowskie wydały już kilka sztuk dramatycznych, niezaprzeczenie dobrych, a trwanie ich obiecuje więcej jeszcze. Powołani i niepowołani, uwiedzeni pozorną łatwością napisania dobrego dramatu... ostrzą pióra już na wyścig następujący.

Wszyscy miłośnicy sztuki z niecierpliwością wyczekują ukazania się Stefana Batorego Matejki. Była mowa, że miał ozdobić lwowską wystawę?? Tymczasem pisma ilustrowane warszawskie mieszczą śliczne rysunki jego historyczne, z których ostatni, Władysław Warneńczyk, jest sam niemal wspaniałym obrazem. Zapewne wystawa wiedeńska wyprowadzi cały zastęp młodych naszych artystów na widowię. Wiemy już o kilku gotujących się dla niej robotach. W Paryżu wystawił Rodakowski Zygmunta Starego, o którym zdania są podzielone; technice wszyscy oddają należne pochwały, pomysłowi i kompozycyji zarzucają wiele.

Właśnie w chwili, gdy ten list kończę, rozlega się żal powszechny po Moniuszce. Pieśniarz to był serdeczny, jak ów poczciwy Syrokomla, jak ów prostoduszny Lafontaine, którego dowcipna pani nazwała un fablier. Moniuszko żył pieśnią, co mu grała w duszy... Muzyka jego umiejętnością wyswobodzona, płynęła nie z niej, nie stuczną była, ale natchnioną; szła z serca, z tego źródła tajemniczego, które każdy wieszcz w sobie nosi jak demona Sokratesowego. Jeszcześmy naówczas widywali go w Warszawie, gdy powrócił z Paryża, gdzie zrobił był znajomość z Gounodem. Sam on opowiadał, że byli sobie oba nadzwyczaj sympatyczni i że Gounod między sobą a nim znajdował pokrewne podobieństwo.

Jednakże dla tych, co znają Gounod'a od Królowej Saby, Doktora z musu, Mircilli, Filemona i Baucis i t. p., a Moniuszkę od Nijoly do Straszego dworu — uderzającym będzie daleko większe bogactwo form i różnaitość natchnienia u Moniuszki. Jestto może winą libretta, że nieśmiertelnego Fausta, to arcydzieło autora, powtarza prawie niewolniczo Romeo i Julia; tego powiedzieć nie można o Moniuszce, którego Halka nie ma najmniejszego podobieństwa do Pary i Straszego dworu... Nikt nie zastąpi tego śpiewaka, a przynajmniej nie rychło znajdzie się taka dusza śpiewacza.

Śmierć jego wywołała dopiero na jaw całe współczucie, jakie miał u narodu... Pogrzeb był tryumfem... Na łyż się zbiera czytając ten prosty opis ostatnich chwil przez poczciwego Dziadulewicza!... W całym domu, gdy zmarł, nie było nawet pono kilku złotych... Tak—ale rodzina wieszczą jest jako lilie pań-

skie, które stroi opatrność, umiejac miłość natchnąć w najzastygłejsze serca. Warszawa nie opuści rodziny — poczciwa a zacna a tak... ale godziż się ją chwalić? A! milczmy! mogą jej bijące jeszcze serce za grzech poczytać.

J. I. KRASZEWSKI.

ZE ŚWIATA.

(Koniec szulera.) Dzienniki donoszą o zgonie jednego z najszcześniejszych i najsłynniejszych szulerów, o którym w swoim czasie bardzo wiele mówiono i pisano, mianowicie o śmierci Hiszpana Garcia, który umarł niedawno w jakimś zakątku Paryża z nędznymi sześciu frankami w kieszeni.

Jules Claratie, jeden z fejtelistów paryskich, który przypadkowo dowiedział się o zgonie tego osławionego rycerza zielonych stolików, poświęca mu w „Independance-belge“ wspomnienie, a przynajmniej kilka wierszy melancholicznych, składając je jako gałązkę cyprysu na jego grobie. Biograf ten jednakże zdradza wielką nieznamość kolei życia tego gracza, a ponieważ są one na wszelki sposób bardzo ciekawe, więc pozwalamy sobie przytoczyć tu najważniejsze z nich na podstawie wiarogodnych opowiadań.

Garcia był swojego czasu tak znakomitym, jak każdy człowiek bogaty, któremu szczęście dopisuje. Świat zawsze jest gotów, więcej podziwiać kupę złota, niż najwznośniejsze zalety umysłowe i zasługi, bo bogactwo było i będzie zawsze najgodniejszym zazdrości przedmiotem dla śmiertelników.

Jak dziś każde oszustwo uchodzi za hazard, tak i Garcia nie robił właściwie nic innego, tylko hazardował, podobnie jak dzisiejsi oszuści giełdowi i bankowi, jak Strousberg i cały szereg podobnych przemysłowców, którzy niedawno jeszcze handlowali rycinami i starą odzieżą, a dziś paradują w złocistych powozach.

Gdy Garcia się pojawił, nie wiadano wtedy jeszcze nic o azyach. Giełdy nie zajęły jeszcze były wtedy miejsca skazanych na zagładę banków szulerskich. Nie było jeszcze wtedy członków parlamentu, którzy z uroczystą grozą, z największym oburzeniem prawiąc o niemoralności tych banków, uchwalali ich zagładę, a potem szli sami podpisywać akcy na inne banki przemysłne.

Garcia stawał się czterokrotnie milionerem za pomocą banku szulerskiego, tak jak dziś można stać się dziesięćkrotnym milionerem na giełdzie. Przed kilkudziesięciu laty przybył on po raz pierwszy do Frankfurtu jako wędrujący komisant jednej z licznych hiszpańskich fabryk korków. Tu ściągnął na rzecz swego domu handlowego znaczną sumę i był do tego stopnia lekkomyślnym, że przegrał wszystko w Trent et quarrante w sąsiednim Homburgu. Nie pozostawało mu przeto nic innego, jak tylko dać się oskarżyć o oszustwo, albo odegrać stracone pieniądze... W rozpacz odkrył swe położenie jednemu ze znajomych i prosił o pożyczkę kilku luidorów, ażeby mógł napowrót odbić swoje pieniądze w banku. Ów przyjaciel ulitował się nad nim i pożyczył mu dwa luidory, a Garcia wygrał niemi dwa miliony.

Odtąd porzucił swój zawód handlowy i urządził się jako szuler. Szczęście sprzyjało mu długo, i on też korzystając

z tego zwiedzał naprzemian Homburg, Wiesbaden i Baden i grywał codziennie bardzo grubo. Przegrywał wszystko, co miał, i wygrywał napowrót miliony, bo los korzył się przed jego odwagą i energią. Tak wiodło mu się przez długie lata. Garcia prowadził świetne życie; zazdrozczono mu i podziwiano młodego ulubieńca losu, w towarzystwie kąpielowem odgrywał on najznakomitszą rolę, każdy pragnął go widzieć. Ogromny majątek jego zjednał mu sławę także w Paryżu, a główną areną jego popisu był tamtejszy półświatek; tam uchodził on za bohatera, gdyż rozrzuczał pieniądze pełnemi garściami.

Pewnego dnia jednak rozeszła się w Paryżu wiadomość, że schwytano bandę fałszywych graczy z wyższych i najwyższych sfer społeczeństwa. Dzienniki nie śmiały zrazu ogłaszać nazwisk, ale wyszły one na jaw, gdy się dowiedziano, że cesarz Napoleon zarządził najsurowsze śledztwo.

Pokazało się tedy, że u jednej z najbardziej uwielbianych loretek paryskich, niejkiej Julii Barrucci, i u innych podobnych bohaterek grywano w eleganckich salonach bardzo wysoko. Do tej bandy należeli: znany z swej rozpusty książę Grammont-Carderousse, książę de la Moskowa (kuzyn Napoleona), dyrektor opery komicznej Calzado, zresztą bardzo szanowny człowiek, dalej kilku innych panów znanego nazwiska, a na koniec szuler Garcia.

Tę szulernię zdradził książę de la Moskowa. Wietrznik ten, wiecznie zadłużony po uszy, prosił pana Calzado o nową pożyczkę w sumie 30,000 franków. Calzado nie chciał pożyczyc, a książę zagroził denuncyacją i — istotnie wykonał groźbę. Ze śledztwa pokazało się, że Garcia grał fałszywie, i skazano go na galery. Calzado, chociaż przekonano się o jego niewinności, został jednak dla kompanii ukarany czternastodniowym aresztem we własnym pomieszkaniu; szulery zaś jaśnie oświeceni wyszli naturalnie bezkarnie z całej tej sprawy.

Garcia tedy, ów przedmiot uwielbienia i zazdrości, stał już wtedy — jak widzimy — tak nisko, że musiał dopomagać szczęściu fałszywemi kartami. Istotnie oskubywał on już od dłuższego czasu u najsłynniejszych loretek dudków, których one zwabiały mu do sieci. I stał on przytem bardzo dobrze ze swemi spółniczkami; prowadził ciągle jeszcze wesołe życie, trzymał kochanki i ekwipaże, i sława jego jako szczęśliwego gracza służyła mu długo jeszcze w towarzystwie za podstawę.

Aż oto naraz wysłano tego uwielbianego bohatera na galery! Nie wiadomo, na jak długo został on skazany, ale gdy po kilku latach pojawił się znów w Paryżu, były już przynajmniej wyższe sfery lekkomyślnego towarzystwa zamknięte dla niego. Do żadnej uczciwej pracy nie był on już zdolnym, i nie pozostawało mu przeto nic innego, jak tylko obrać swe stanowisko o kilka stopni niżej. Znamość jego z loretkami arystokracji, które mieszkaly w świetnych apartamentach i jeździły paradnymi powozami, była dla niego zawsze jeszcze

korzystną. Ale najlepsze i najszczerze przyjaciółki jego doznały tymczasem także już niemiłych zmian losu i pospadały również z swej sztucznej wysokości, a jeżeli odważył się jeszcze grać gdziekolwiek fałszywie, musiał być bardzo ostrożnym, żeby go nie poznano.

Wreszcie stracono go w Paryżu całkiem z oczu. Jak wieść niesie, prowadził on potem swoje rzemiosło w najędźniejszych knajpach w pobliżu rogatek, oskubywał przez długi czas w spółce z jakąś wrózką lekkomyślną młodzież, i używał innych jeszcze niekzemnych sztuczek dla zdobycia grosza.

Wtem nastąpiła wojna, nastąpiło oblężenie Paryża, a potem terrorystyczny rząd komuny. Opowiadają, że Garcia jeszcze przed rozpoczęciem wojny leżał przez dłuższy czas całkiem zniszczony w jakimś szpitalu. Co robił podczas oblężenia i rządów komuny w Paryżu, nie wiadomo wcale. A gdy wreszcie umarł w szpitalu, znaleziono zaledwie sześć franków w jego kieszeni, w kieszeni człowieka, który niegdyś był milionerem, a po którym nie zostało nawet tyle, by wystarczyć na zapłacenie trumny i miejsca na tej ziemi, na której niegdyś tak był szczęśliwym. Taki to zwykle koniec podobnych awanturników.

(Zaloty w Birmie) tak opisuje pewien dziennik indyjski: Birmanie są Buddaiści, a Buddaizm nie zajmuje się wcale małżeństwem; ich kapłanie nie troszczą się bynajmniej o związki małżeńskie i żyją sami w celibacie. Dlatego też łączą się tam młodzi ludzie całkiem niezawisłe od religii i nie doznają w swoich miłostkach żadnej zgoda przeszkody. Kochankowie birmańscy nie wiedzą nic o wykradzeniu, porwaniu, sprzedaży lub posagu; zaloty odbywają się całkiem gładko i spokojnie, wyjąwszy bójki między konkurentami, jeżeli dwóch zakocha się w jednej. Dziewica birmańska jest obyczajną a wesolą; jej zachowanie pełne wdzięku i przyzwoitości. Nosi ona zwykle jasną, jedwabną spodniczkę i biały kaftanik, na szyi błyszczy złoty naszyjnik, a krucze włosy ozdobione są kwiatami. Takie nadobne stworzenie musi naturalnie mieć wielbicieli, i wszystkich też przyjmuje ona bardzo życzliwie. Co wieczora oddają jej wizyty wszyscy ci młodzi panowie, ale afekty ich są częstokroć tak niestałe, że jeszcze tego samego wieczora odwiedzają oni inne dziewczęta w tym samym celu. Tak odbywają się zaloty rok rocznie, i tak się dzieje od niepamiętnych czasów. Wieczór w Birmie dzieli się na trzy części: udawanie się na spoczynek dzieci, starców i młodych ludzi. Dzieci idą spać o zachodzie słońca. Potem nastaje pora zalotów i trwa aż poza termin udawania się na spoczynek starców, który przypada o godzinie dziewiątej. Czas udawania się na spoczynek młodych ludzi jest właściwie nieograniczony, ale zaczyna się zwykle o godzinie jedenastej. Gdy się zbliża pora zalotów, zapala młoda dama lampę tak, ażeby jej blask padał przez okno, i zasiada w przedsionku. Tymczasem przywdziewają kawalerowie swoje najpiękniejsze jedwabne Putzos, rodzaj szerokich pantalonów, na to wkładają czyste, białe spencery, a głowę owijają pstrą jedwabną chustką podług najnowszej mody. Tak wchodzą, siadają obok dziewczyny na rogóży, i bawią się rozmową. Jeżeli który z wielbicieli był tego dnia nieszczęśliwym przy wyścigowej żegludze albo nawet wpadł w wodę; jeżeli zanadto nadskakiwał innej dziewczynie, lub wreszcie w jakikolwiek sposób wystawił się na śmieszność, natenczas bywają widoki jego tego wieczora

bardzo złe, i rywal jego uzyskuje pierwszeństwo. Rodzice nie zwracają wcale uwagi na te schadzki i zostawiają młodym ludziom zupełną swobodę. Zresztą kończą się te zaloty po największej części bardzo przyzwoicie i niewinnie, a małżeństwa zawierane potem jedynie z miłości podług ustaw cywilnych i bez interwencji kapłana bywają wogóle szczęśliwe i spokojne. Ale przytem wszystkim jest zazdrość jedną z najgłówniejszych namiętności w Birmie. Jeżeli dziewczyna okaże swe przywiązanie któremu z wielbicieli, może on przygotować się na to, że rywal zechce doświadczyć na nim swego sztyletu, włóchni lub strzelby, i nieraz już zdarzało się, że niespodzianie przez matową ścianę przebijała włócznia rywala szczęśliwego kochanka, gdy siedział przy swojej oblubienicy. — Że też ta miłość wszędzie jest jednaka!

(Jeszcze jeden oryginał.) Niedawno zmarł w Rotterdamie człowiek bardzo oryginalny, największy palacz tytoniu i pijacz piwa. Jego współrodacy i przyjaciele dlatego nazwali go „królem palaczy.“ Posiadacz ogromnej fortuny, nabytej przez handel płótnem, p. Van Klaes kazał sobie wybudować blisko Rotterdamu piękny pałac. Pałac ten zawierał w sobie ciekawą kolekcją, którą wszyscy znakomitsi cudzoziemcy zwiedzali. W muzeum tem znajdowały się pomieszczone rządami, podług narodowości, wszystkie modele fajek, przedstawiające głowy lub karykatury, zwierzęta, kwiaty, jarzyny i wszystkie próby tytoniu. Pan Van Klaes zmarnował życie i wydał ogromne sumy, ażeby zebrać tę kolekcją. Na parę dni przed śmiercią podyktował on nataryuszowi, swemu przyjacielowi i także sławnemu palaczowi, testament następujący: „Chcę, ażeby wszyscy palacze tytoniu w mieście byli zaproszeni na mój pogrzeb. Każdy dostanie dziesięć funtów tytoniu i dwie fajki holenderskiego ostatniego modelu, na których będzie wyrte moje nazwisko, moje herby i data mojej śmierci. Wszyscy moi krewni, przyjaciele i zaproszeni na pogrzeb, zechcą towarzyszyć moim zwłokom aż do miejsca wiecznego spoczynku, bacząc, ażeby fajki, które im rozda mój marszałek, nie zgasły. Po przybyciu na cmentarz i po skończeniu ceremonii, każdy z nich niech rzuci na moją trumnę popiół ze swej fajki. Biedni okręgu, którzy zastosują się do mojej ostatniej woli, otrzymają do śmierci w rocznicę mego zgonu, po dziesięć funtów tytoniu i po baryłce piwa dobrego gatunku. Co do mojej osoby, żądam, aby moje zwłoki złożone zostały do trumny dębowej, wybitej w środku drzewem z mych starych pudełek od cygar hawańskich. Na dnie trumny, w której złożą moje ciało, zawinięte w całun z płótna lnianego egipskiego, niech położą pudełko tytoniu francuzkiego, zwanego „kaporal“ i paczkę naszego starego tytoniu holenderskiego. Żądam, aby przy mym boku położono moją fajkę ukochaną, pudełko zapalek, krzesiwo i kilka kawalków hubki. „Niewiadomo co się stać może...“ zakończył poważnie Van Klaes. Jakiś statystyk wydał po śmierci tego zacnego człowieka następujące cyfry wskazujące liczbę litrów piwa, które on wypił, i liczbę kilogramów tytoniu, który wypalił przez swoje długie, bo 98letnie życie. Van Klaes wypijał codziennie 15 litrów piwa i wypalał 150 gramów tytoniu; przez 80 lat wypada razem 4,383 kilogramy, a pijąc co dzień 15 litrów piwa, przez ten sam czas wynosi 438,300 litrów.

(Tracenie zbrodniarzy za pomocą słoni.) Jeden z dzienników angielskich zawiera następujące doniesienie: W Indyach wschodnich, gdy kraj ten był jeszcze niepodległym, używano wszędzie słoni do tracenia zbrodniarzy, a dzieje się to dziś jeszcze w tych prowincjach, które nie zostają pod panowaniem Anglii. Słonie, używane do takich egzekucyj, są wyczone w taki sposób, że albo od razu zabijają skazanego, albo też powoli gruchocą jego członki, jeden po drugim. Najokrutniejszą jest następująca metoda tracenia: Rozbierają zbrodniarza do naga, wiążą mu ręce w tył i przyczepiają go na dość długim łańcuchu do jednej z przednich łap słonia, a potem pędzą to zwierzę z największym pospiechem po ulicach miasta, gdzie odbywa się egzekucja. Wleczoną tym sposobem nieszczęśliwa ofiara barbarzyńskiej sprawiedliwości zamienia się w końcu po najstraszliwszych mękach w krwawą, brudną i prawie bezkształtną bryłę. Gdzieindziej kładą skrepowanego winowajcę na wielkim kamieniu, i słon rozgniata mu głowę swoją przednią łapą. I te dzikie egzekucje odbywają się zawsze przy wielkim natłoku ludu.

(Pani Thiers.) Jeden z korespondentów gazety kołońskiej podaje następującą charakterystykę żony prezydenta republiki francuskiej: Pani Thiers jest największą nieprzyjaciółką wszelkiej wystawności i stara się też usilnie o to, ażeby i inne damy występowały z jak największą prostotą i skromnością. Ale przykład ten nie wiele pono znachodzi zwolenniczek u płci pięknej. Najoszczędniejsza gospodyni niemiecka mogłaby się jeszcze czegoś od niej nauczyć, a nie ma pewno żadnej, któraby w gospodarstwie domowym była tak ścisłą, w ubraniu tak skromną, jak pani prezydentowa republiki. Można by rzec prawie, że pani Thiers jest prawdziwą Spartanką, taką okazuje prostotę w ubiorze właśnie wtedy, gdy jest wielką recepcja i potrzeba wystąpić w towarzystwie. Sypia ona na bardzo lichem łóżku polowym, na tem samym, którego używał jej mąż na objazdkach w ciągu wojny; i chociaż jej ubranie nocne wcale nie świeże, udziela ona przecież, leżąc jeszcze w łóżku, audyencyj porannych, a zdarza się często, że nawet ministrowie bywają przypuszczani do jej sypialni. Tak zwanego negliżu porannego, który odgrywa wielką rolę w pięknym świecie paryskim, ani też pantofelków nie zna wcale ta Spartanka paryska, lecz poprzestaje na starym kaftaniku, przenoszonej sukni i starych bucikach. Jeszcze mniej dba o jadło i napój, i gdy jedzie do Paryża, nie jadłszy śniadania w domu, kupuje sama u wędliniarza kawałek szynki, albo tylko bułkę, i spożywa w powozie swoje skromne śniadanie, którego nie zazdrościłaby jej najuboższa szwaczka paryska. Że pani Thiers sama wszystko kupuje i nawet na targowicy wersalskiej jest powszechnie znaną chociaż nie bardzo lubioną osobistością, to rzecz wiadoma. Ale jakkolwiek to spartaństwo pani prezydentowej może być chwalebne, przecież wogóle nie bardzo ono się podoba. Sam p. Thiers wcale nie pochwała tej przesadnej prostoty swojej połowicy. Ale mąż ten, który w życiu publicznem tak wielką objawia energię i tak odważnie stawia czoło 750 pretendentom do tronu monarchom Francji, jest bezwładnym wszędzie, gdzie tylko nie chodzi o sprawę publi-

czną. Wprawdzie nie jest on pod pantoflem pani prezydentowej, bo ona nie ma ich wcale, ale za to pod jej starymi trzewikami, a chociaż próbował czasem zrobić w domu małą rewolucyjkę à la 1830, nie udało mu się przecież nigdy dłużej, niż na dwie godziny, obalić despoteznego rządu swojej monarchini.

(Napoleon I. żydém.) W wydanem niedawno pisemku odegrzano starą historyjkę, podług której familia Bonaparte ma być pochodzenia żydowskiego. Dla osobliwości przytaczamy z tego dziełka to, co się odnosi do nowożytnego podania. „Dawnemi czasy — powiada autor — szukały familie żydowskie przytulku na wyspie Korsyce; szczególnie udawali się tam żydzi, wygnani w r. 1443 z Florencji, i ci przyjąwszy chrzest tylko pozornie dla uniknienia prześladowań, używali potem dalej świetnych nazwisk Colonna, Orsini, Doria, Ferelli i Buonaparte, które podług ówczesnego zwyczaju otrzymali od rodziców chrzestnych.“ Podług opowiadania autora utrzymują dziś jeszcze w Ajaccio, że rodzina napoleońska nie ma innego źródła pochodzenia. Trudniła się ona zawsze handlem, nie posiadała ani kawałka ziemi, i jeszcze w przeszłym wieku doznawała dla swego pochodzenia zawsze wielkich trudności, gdy chodziło o związki rodzinne z dawnymi chrześcijańskimi familiami tej wyspy. Dalej utrzymuje autor, że były król westfalski, „zawsze wesolej pamięci“, miał tyczygnią całkiem żydowską, i opowiada z wielkiem zadowoleniem, że panujący wielki książę heski posiada miniaturę tego króla, ofiarowaną niegdyś w upominku posłowi heskiemu przy dworze kasselskim, i że ten poseł ciągle mawiał: „Król Hieronim wygląda całkiem na żyda“. Że Napoleon III. był potajemnym żydem, ma naturalnie niepodlegać żadnej wątpliwości, a autor wie nawet całkiem dokładnie, że ojciec Lula, świadomy swego pochodzenia, zalecał swoim ministrom jak największe względy dla żydów. Czy to wszystko prawda, trudno odgadnąć, ale to rzecz widoczna, że autor tego dzieła sam musi być żydem.

(Olbrzymi bilet.) Myliłby się bardzo, ktoby sądził, że nasze niezbędne dziś w życiu towarzyskiem karty wizytowe, tylko w Europie i to w najnowszym czasie weszły w używanie. W kraju ciemnoty, w Chinach, znano je przed tysiącem lat jeszcze. Nie trzeba jednak wyobrażać sobie, by te chińskie karty wizytowe były podobne do naszych małych biletów, które można wygodnie nosić przy sobie; przeciwnie, używają oni do tego wielkich arkuszy papieru, których barwa i wielkość zależy od godności osób, dla których są przeznaczone. Jak dalece zaś posuwa się ta grzeczność, świadczy wypadek, jaki zdarzył się lordowi Macartney, gdy przybył do Chin z polecenia rządu angielskiego. Dwór pekiński kazał przyjmować go z największem wyszczególnieniem, i dygnitarze chińscy składali mu na wyścigi swoje uszanowanie. W ciągu tych objawów grzeczności i wizyt otrzymał poseł angielski od jednego z wicekrólów bilecik wizytowy. Barwa jego była czerwona, a co do wielkości można rzec śmiało, że bilecik ten byłby wystarczył na obicie zwykłego pokoju. Karta wizytowa, któraby mogła służyć za tapetę! To prawdziwie chiński objaw grzeczności!

Kącik humorystyczny „Strzechy.”

Sielanka.

Wojciechowa. Ach, kumcio złota, jakże ja Was serdecznie żałuję!

Maciejowa. A toż dlaczego?

Wojciechowa. Boć to słyszę wasz się zapomina i bije Was...

Maciejowa. No, widzicie kumo, jakie to złośliwe języki ludzkie! Nie wiercie temu. Prawdać, mój stary czasem mnie poszturcha i wykuksuje; bywało weźmie nawet za łeb, potelepie o ścianę lub kopnie; ale żeby miał mnie aż bić — to nie prawda. On ma przecież hajdukację.

Wojciechowa. Ty rychtyk jak mój. A no, to chwala Bogu, kumcio, bo mnie okropnie martwiły te gadania.

Z kuchni małżeńskiej.

Żona (gadatliwa.) Wiesz mężuńciu, zrobiłam Ci dziś przysmak na obiad!

Mąż. No, cóż takiego?

Żona. Ozór na szaro.

Mąż. I to nazywasz przysmaczkim? Wszakże codziennie raczysz mnie tą potrawą!

Przy oświadczeniach.

(Podsluchane.)

Ojciec. Więc pan kochasz moją córkę?

Gapcio (z zapalem.) O kocham, panie, nad życie!

Ojciec. A ileż warte pańskie życie?

Gapcio (zdziwiony.) Jakto, ile warte... nie rozumiem te go pytania.

Ojciec. Nie rozumiesz pan? Więc postawmy je wyraźnie: Co pan umiesz?

Gapcio (zuchowato.) O panie, co ja umiem! Ja uniem wszystko: jeść, pić, hulać, polować, w garty grać — słowem, co się panu podoba.

Ojciec. To wszystko, panie, umie także mój foryś, ale on umie jeszcze konia oczyścić i ogon mu zawiązać. Więc właściwie nie pan nie umiesz. A czem pan się trudnisz?



Gapcio (urazony.) Jakto, czem się trudnię... alboż to ja szewc, czy literat, czy handlarz pieprzem? Ja, panie potomek kasztelański, żyję — i basta!

Ojciec. Więc drugie nic. A jakie pan masz dochody?

Gapcio (spuszczając nieco z tonu.) No, teraz nie mam żadnych dochodów; ale jak ciocia umrze...

Ojciec. Znów tedy nic. Więc życie pańskie reprezentują trzy wielkie zera; a ileż może być warta pańska miłość nad życie? Niechże pan gdzieindziej ulokuje swój kapitał. Żegnam pana.

Gapcio (za drzwiami z gniewem.) Cymbał! Powiada, że zera nie niewarte; a zkądże wziąłby się milion, gdyby zer nie było.

Nie ma pani w domu.

— Żebym tak codziennie wysiadywała przed lustrem, jak moja pani, to i niedługo mogłabym sama zostać panią. Czy to ja gorsza od niej? Niech lustro powie.

Sprostowanie. Skutkiem przeoczenia przy korekcie zaszła w poprzednim zeszycie w artykule: „Z życia pięknej kobiety“ — rażąca pomyłka; mianowicie na stronnicy 145 w szpalcie 1wszej w wierszu 15 od góry zamiast: w Krymie — powinno być: na Ukrainie.

SKŁADKA NA OŚWIATĘ LUDOWĄ.

Z upoważnienia przynależnego komitetu otworzyła redakcja „Strzechy“ z dniem 1. lipca r. b. składkę na oświatę ludową i wystawiła na ten cel puszkę przy księgarni F. H. Richtera.